Nr. 14 (1472) Warszawa, 3 Kwietnia 1909 r. Rok XXIX.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Redakcja i Administracja **Rysia 3. Telefon 73-80.**

Szanownym prenumeratorom przypominamy o odnowieniu przedpłaty na 2-gi kwartał.

POLITYKA i ŻYCIE SPOŁECZNE.

Pokój europejski.

Pokój uratowany, Europa odetchnęła, giełdy na nowo zaczynają interesy i życie normalne zwykłym potoczy się torem.

Może nasuwałoby się pytanie, co należy i co wolno zaliczać do normalnych objawów życia? To co się powtarza stale, czy to, co odpowiada naturalnym wymaganiom i potrzebom jednostek i narodów?

Czy ta, bezkrwawa walka, tocząca się w ciągu kilku miesięcy między potęgami europejskimi i jej ostateczny „pomyślny" rezultat należy do objawów normalnych?

Jest rzeczą zupełnie pospolitą i ogólnie przyjętą, że i koszta wojny i koszta pokoju między potęgami zbrojnymi płacą nie one, lecz ktoś trzeci, niemający dość siły, ani na stoczenie zwycięzkiej walki, ani na zawarcie korzystnego pokoju.

Walkę stoczono między trójprzymierzem a dwuprzymierzem, ściślej zaś między Austrją i Niemcami z jednej, Rosją, Anglją i Francją z drugiej strony. Koalicja austro-niemiecka odniosła świetne zwycięstwo, a koszta zwalono na barki Serbów i ich bośniackich i czarnogórskich braci.

Szczęśliwie doprowadzone do skutku porozumienie europejskie czarnymi głoskami nakreśliło na widnokręgu politycznym tych krajów: „Lasciate ogni speranza".

Serbja a z nią inne ludy bałkańskie przekonały się, że ich wrogowie są silniejsi niż ich opiekunowie; ci ostatni zaś po udzielaniu im niefortunnych rad dali im w końcu całkiem sprzeczny z nimi dobry przykład: skapitulowali na całej linji.

W całej tej grze nie chodziło o to, kto kogo przemoże, lecz kto kogo przestraszy i niemiecka koalicja przestraszyła antyniemiecką. Była to niby gra giełdowa na ceny niedostawionego faktycznie towaru.

Zapewne ci życzliwi moraliści, którzy pouczali Serbję, że nie powinna na nikogo rachować tylko sama na siebie, dziś cieszą się tanim tryumfem, gdy ją spotkało rozczarowanie. „A co? nie mówiliśmy?" Mała w tym dla biednego narodu pociecha. Czy „licząc tylko na siebie" ma się mimo wszystko porwać do broni mając przeciw sobie dziś całą Europę? Czy pogodziwszy się z losem, który ją zdał na łaskę i niełaskę mocniejszego, ma wegietować i zamierać eksploatowana w miarę potrzeby i okoliczności bezkarnie — gdyż sama się bronić nie może—a nikt jej bronić nie będzie?

Pouczano ją nawet naszym przykładem: „Niech sama liczy na siebie — jak Polacy". Tak jest; my nie liczymy na nikogo, ale jak dalece liczymy na siebie i czy nasz przykład może kogo zachęcić lub nauczyć?

Europa cieszy się ocalonym pokojem; i my mamy również powód się cieszyć. Wszakże gdyby wybuchnęła — jak przepowiadano — wojna europejska, nasz kraj stałby się w pierwszym rzędzie jej widownią, padłby ofiarą spustoszenia i grozy wojennej. Już w przewidywaniu tego faktu rzucano hasło absolutnej neutralności: „Siedzieć cicho! czekać wytrwale!" Mówi się „wytrwale" — myśli się „pokornie" i „cierpliwie", boć wytrwałość w biernym poddawaniu się nieszczęściom, których odwrócić nie można, nie jest wyrazem siły lecz słabości — jest cnotą niewolników.

Przestrogi były zbyteczne; wszystkie cnoty niewolników dawno wydoskonaliliśmy w sobie do wysokiego stopnia. Bez szemrania znosimy i krzywdy i obelgi, bez szemrania czekalibyśmy końca tych zapasów, które rozgrywałyby się na naszej skórze i jej kosztem. Mogłyby potęgi europejskie walczyć w naszym kraju o panowanie nad nim, a każda z nich w szeregach swej armji miałaby naszych braci, wytrwale, „trójlojalnie" służących własnemu panu przeciw cudzemu panu. To nazywanoby roztropnością i dojrzałością polityczną; Serbja jeszcze tej dojrzałości nie osiągnęła.

Uniknęliśmy tego losu na razie. Nie płacimy krwią własną kosztów wojny — ale nie uchroni nas to od pośredniego w tej lub owej formie opłacenia kosztów pokoju.

Gdy chmury wojenne wisiały nad Rosją, gdy ona występowała w roli naturalnego obrońcy Słowiańszczyzny przeciw giermańskiej zaborczości — sprawa wyodrębnienia Chełmszczyzny została usuniętą z porządku dziennego i byłaby mogła — zależnie od okoliczności — na długo w archiwach pozostać. Była ona w każdym razie nie na czasie. Sama przez się, naturalnie, nie mogła ani wzbudzić, ani zaostrzyć międzynarodowego zatargu, lecz wobec niego musiała zejść na plan drugi. Formalnie mogła być kwestjonowaną, faktycznie upadłaby sama przez się, gdyby Chełmszczyzna stała się widownią walki nie wewnętrznej lecz zewnętrznej.

Obecnie z tej strony już nic Rosji nie grozi. Polityka jej zagraniczna doznała porażki niekrwawej lecz równie ciężkiej i upokarzającej jak na Dalekim Wschodzie.

Zamknęły się przed nacjonalizmem rosyjskim szerokie widnokręgi wszechświatowych wpływów i tryumfów, szuka więc odszkodowania w podbojach i zwycięstwach wewnętrznych, szuka słabszych od siebie, którym by jeszcze mógł coś bezkarnie odebrać, których by mógł pognębić, nad nimi tanim kosztem zatryumfować. Projekt wyodrębnienia Chełmszczyzny już został przedłożony radzie ministrów i przez nią przyjęty. Przechodzi on najdalej sięgające obawy. Cechuje go taka zawziętość względem polskości, jaka spotyka się tylko w stosunku do kraju podbitego kosztem najcięższych wysiłków. Czyżby istotnie chodziło o to, by wywołać złudzenie dokonanego podboju i nasycić żywioły reakcyjne uczuciem mściwego tryumfu dla zatarcia świeżych wrażeń porażki?

Usunięcie języka polskiego z samorządu, nawet z prywatnych instytucji i ze szkół, zakaz nabywania ziemi — słowem, zupełne zgnębienie żywiołu polskiego, który nawet wedle urzędowych danych ma tam przewagę większości — oto punkty naczelne w projekcie wyodrębnienia Chełmszczyzny.

Ma się rozumieć, że wobec tego faktu — tak samo jak Serbowie wobec aneksji Bośni i Hercegowiny — możemy liczyć tylko na siebie. Nie pomogą nam Austrja, ani Anglja, których nie poruszyły i drastyczniejsze fakty. Nie pomoże nam i potęga papieska, gdyż już raz poświęciła katolicyzm Chełmszczyzny, pozostawiając jego obronę samorzutnemu poświęceniu i bohaterstwu chłopów, którzy daremnie rzucali się pod pociąg, wiozący kardynała Vanutelli, a w końcu bez jego pomocy i opieki dotrwali do chwili, gdy mogli — święcić tryumfalne pochody biskupa Jaczewskiego. Potęga papieska umiała tylko w nas szukać podpory i podnóżka, ale nigdy nie broniła swych wiernych sług przed żadnym uciskiem więc i dziś polskości Chełmszczyzny napewno bronić nie będzie.

Mamy jeszcze w Dumie dziesięciu posłów polskich, którzy tam pono na to tylko czekają, by *„silnie, bardzo silnie"* zaprotestować przeciw wyodrębnieniu Chełmszczyzny, a w końcu manifestacyjnie wyjść — jeśli nie będą woleli wyjść trochę później dla jakiejś jeszcze ważniejszej sprawy, o którą się reakcyjna i nacjonalistyczna Duma z łatwością postarać może.

---

12)

ALEKSANDER ŚWIĘTOCHOWSKI.

DUCHY.

VI. BURZA.

Widok 4.

Dina Co słychać?

Ila Maglujmy.

Zaczęły nawijać bieliznę.

Za godzinę z tego gmachu będą gruzy a z ludzi w nim miazga.

Dina Och!

Ila Boisz się, czy żałujesz?

Dina Ciągle coś we mnie pozostaje, czego nie owładnęła nienawiść. To coś drży przed okropnością zemsty.

Ila W tobie tylko tyle jest rewolucji, ile potrzeba do oprawy zakazanych książek.

Dina (*śmiejąc się*) Trochę więcej. A gdybyś widziała, jak się rozpada poczciwy Klimen! Jest tak zdenerwowany, że ciągle płacze.

Ila (*szyderczo*) Urosły mu długie włosy, niech sobie splecie w dwa warkoczyki, to się uspokoi.

Dina Z ciebie byłby doskonały kat.

Ila O, tak! Ale ty odejdź, bo tu jesteś zbyteczna a twój Klimenek tam beczy i potrzebuje piastunki.

Wszedł Arjos z Lotem, wycieńczonym, chwiejącym się na nogach.

Widok 5.

Arjos W porę jesteś, Dino. Zmęczony Lot miał iść do was. Oddaj to króciutkie doniesienie Rady Klimenowi: niech je złoży i odbije, ażebyśmy mieli gotowe do rozlepienia na ulicach, jeśli nasze przedsięwzięcie się uda.

Wzięła kartkę i wybiegła.

Arjos (*do Lota*) Co ci dać, ażebyś się pokrzepił?

Czy liczyć „na siebie", znaczy liczyć na owych posłów?

W każdym razie z ocalonego pokoju europejskiego my w pełnej mierze korzystać będziemy pełniąc rolę owych wewnętrznych wrogów, przeciw którym całkowicie wystarcza militarna potęga, niedostateczna wobec zewnętrznego najazdu.

Będziemy tęż samą rolę spełniali i w Niemczech upojonych bezkrwawym tryumfem swej polityki.

Niemcy przekonały się przecież namacalnie, że wszyscy ich się boją, a one nie potrzebują się bać na razie nikogo. Takie stanowisko pozwala im dyktować prawa Europie, a cóż dopiero jakiejś tam bezbronnej opozycji parlamentarnej, która może uchwalać nawet i uczciwe reformy bez najmniejszych widoków przeprowadzenia ich w razie oporu Rady związkowej.

Niczym niezmąconym zadowoleniem napawać się będzie Francja, miłująca nadewszystko świętą zgodę i pomyślne interesy. Jedynie Anglję rozgoryczy zbyt łatwe zwycięstwo silnego przeciwnika nad sprzymierzeńcem i w cichości szukać będzie ona nowych sposobów przywrócenia zachwianej równowagi europejskiej, nad którą niemiecka potęga militarna zbyt groźnym zawisła brzemieniem.

Tymczasem my — z góry predestynowane ofiary i wojny i zgody powszechnej, i zbrojnego starcia i zbrojnego pogotowia, — gdy cała Europa cieszy się pokojem — próbujmy się cieszyć naszą mroczną suteryną, słuchając zdala harmonijnych dźwięków koncertu europejskiego, który na czas dłuższy usunął z repertuaru „Hej Słowane", a wrócił do starej lecz zawsze oklaskiwanej piosenki: „Deutschland, Deutschland über Alles". *m.*

Włochy, Watykan i trójprzymierze.

Podczas gdy Włochy, jak długie i szerokie, wrzały zgiełkiem wieców i zebrań wyborczych, podczas kiedy namiętne hasła krzyżowały się w powietrzu, niby race i rakiety — świat polityczny zadawał sobie pytanie podwójne: czy socjaliści wzmogą się na siłach po pamiętnej klęsce 1904 roku? Czy partja katolicka, rzucona na szale rozkazem Piusa X-go, osiągnie zapowiedziany sukces? A nad tym zagadnieniem podwójnym górowała kwestja główna: *jaki będzie stosunek nowej Izby do trójprzymierza?*

Na to wszystko Włochy odpowiedziały wymownie d. 7-go i 15-go marca. Tryumf „reformizmu" — porażka Watykanu — zachwianie trójprzymierza — oto krótka formuła ostatnich wyborów...

* * *

Skrajna lewica, złożona z socjalistów, republikanów i radykalów, zajmuje dziś na *Montecitorio* 106 miejsc poselskich, zamiast poprzednich 64. Socjaliści włoscy, prowadzeni przez pp. Bissolati (Rzym) i Tuzati (Medjolan) dowiedli wielkiej energji i żywotności, wyzbywszy się w ciągu 4 lat minionych — nałogów taniej demagogji rewolucyjnej na rzecz polityki reformistycznej, poważnej i pozytywnej.

Warunki były zresztą dla nich przychylne. Opinja publiczna, rozdrażniona aktem zaborczym Austrji na Bałkanach, niezadowolona z taktyki rządu wobec zatargów ostatnich o uniwersytet włoski w Wiedniu — chętnie udziela poparcia tym żywiołom, które tworzą najbardziej nieprzejednaną opozycję. W roku 1904-ym, przeciwnie, wybory przypadły bezpośrednio po wielkich strajkach, które dały się ludności ciężko we znaki. Rząd ówczesny, pragnąc socjalistów dostatecznie w oczach opinji skompromitować, zostawił im zupełną wolność działania. Rachuby p. Giolitti sprawdziły się zupełnie: socjalizm rewolucyjny poniósł klęskę dotkliwą. Skorzystał z niej jednak socjalizm reformistyczny, zyskując na sile i na wpływach. Na ostatnim kongresie dorocznym we Florencji (paźdz. 1908) *reformiści* z p. Tuzati na czele zmogli „nieprzejednanych".

Lot Nic. Tylko trochę wyprostuję się i odetchnę. W ciemnocie i wilgoci osłabłem, ale to zaraz minie.

Arjos Zobaczę, jak wygląda ulica.

Ila (*po odejściu Arjosa*) Stanko w podkopie?

Lot Wiąże lont.

Ila Wytrzymalszy od ciebie.

Lot Młodszy, zdrowszy, a nadewszystko więcej się spodziewa dobrego dla swojej idei, niż ja dla mojej.

Ila Sądziłam, żeś swoją ojczyznę już zagrzebał w tym kanale.

Lot Chociaż moja ojczyzna jest maleńka, wnętrze całej ziemi byłoby za małym dla niej grobem. Ty tego nie rozumiesz.

Ila Och, rzeczywiście nie rozumiem ani twojej kociej miłości dla miejsca rodzinnego, ani tej nici, która cię wiąże z nami.

Lot Wrogowie moich wrogów są moimi sojusznikami. Łudzę się przytym, że w ogólnym przełomie pękną również kajdany mojego narodu. Dlatego idę z wami, dlatego robię wszystko, co każecie, nie pytając moich przekonań, dlatego przez trzy miesiące ryłem jak kret — a wiesz, co ciągle powtarzałem przez cały czas tej roboty? Mówiłem sobie: „tam w tym wielkim gmachu mieszkają złe duchy, które wydzierają i kradną szczęście mojemu narodowi". Bez tej wiary nie mógłbym kopać.

Ila (*z gniewem*) Za co ty kochasz wszystkich ciemięzców, zbrodniarzów, wyzyskiwaczów, oszustów, którzy stanowią trzy części twojego narodu?

Lot Ja kocham jego duszę, a nie przestaję kochać nawet wtedy, kiedy jest pokalana, bo będzie kiedyś czysta.

Arjos (*wrócił*) Zdaje się, że ulica mniej strzeżona, niż zwykle.

Wszedł Stanko. Wesołością pokrywał zmęczenie.

Stanko Wszystko gotowiuteńkie aż do ostatniego ściegu. Ale powiedzcie mi, czy ja wyglądam dość elegancko, ażeby nie zwracać na siebie uwagi? Umyłem się w wodzie, która już kilkakrotnie do tego służyła, w piwnicy niema zwierciadła, więc może jest jakieś zaniedbanie w mojej tualecie.

Arjos Pozostaje tylko kwadrans. Ty z Lotem jesteście tu niepotrzebni. Idźcie na ulicę i róbcie, co będziecie uważali za stosowne. Może uda wam się osłonić uciekającego Forala. Ila pilnować będzie sutereny, ja zapalę minę.

W tym samym niemal czasie kongres związków zawodowych *(Confederazione del lavoro)* w Modenie znaczną większością uchwalił przynależność swą do zasad reformizmu. *Nieprzejednani* zaś znaleźli się i tu i tam w nieznacznej liczbie i nadomiar złego ugrzęźli w sporach dogmatycznych.

Reformiści tedy stanęli na czele kampanji tegorocznej, uwieńczonej świetnym sukcesem i prowadzonej wespół z lewicą radykalno-wolnomyślną pod hasłem bloku antyklerykalnego. Odtąd socjalizm stanowić będzie we Włoszech czynnik bardzo poważny i w parlamencie grać może rolę wybitną.

* * *

Stronnictwo „katolickie" poniosło klęskę stanowczą. Jestto ciąg dalszy niepowodzeń obecnej polityki Watykanu, który ślepotą swą i niezręcznością zdumiewa od pewnego czasu świat cały, przywykły ongi cenić poprawność i subtelność Leona XIII. mądrego papieża. Pius X nie ma ręki szczęśliwej. Papierowe gromy *Syllabus'u*, rzucone przezeń na „modernistów", miały ten tylko skutek, że ks. A. Loisy został profesorem w *College de France*, a ksiądz R. Murri, obrany posłem do *Montecitorio*, zasiądzie w sutannie na ławach skrajnej lewicy. Wedle zatym zapowiedzi biblijnej: „*wywyższeni będą ci, których starano się poniżyć*"... W Rzymie samym kandydaci papiescy z *Unione Romana* przepadli z kretesem; przeszedł natomiast Bissolati, socjalista umiarkowany.

Najdotkliwszy cios jednak poniósł Watykan w Wenecji, gdzie rządził poprzednio blok klerykalno-zachowawczy, sformowany przez papieża, ówcześnie biskupa Weneckiego. Dziś Wenecja jest w rękach socjalistów i radykałów, podobnie jak Turyn, Medjolan, Bolonja, Sienna i wiele innych miast.

Watykan żałuje gorzko, że wyszedł z ram biernej rezerwy, zgodnej z zasadą Leona XIII-go: „*non expedit*"... Poprzedni papież, trzymając w zawieszeniu szyki katolickie i zakazując wiernym brać jakikolwiek udział w wyborach — odnosił przez to pewne korzyści. Rząd włoski bowiem zdawał się obawiać tej groźby interwencji, wiszącej nad nim ustawicznie. Stosowano też z powodzeniem — szczerze i nieszczerze — system „straszaka katolickiego" wobec radykałów, zwłaszcza gdy ci domagali się nazbyt natarczywie zupełnej laicyzacji szkół włoskich.

Baczność: Watykan się ruszy! — ostrzegał rząd przebiegle. Strwożeni zachowawcy głosili za nim posłusznie:

Cicho! bo Watykan się ruszy! zaś radykaliści milkli, nie chcąc sytuacji pogorszyć.

Leon XIII poprzestawał tedy na pogróżkach, wyzyskując zręcznie oportunizm jednych, obawę innych, niepewność wszystkich.

Pius X — *le pape gaffeur* — w myśl swej polityki ciasnej i prostolinijnej, pozwolił bojowniczemu klerowi zstąpić na boisko wyborcze, pod okiem ironicznym p. Giolitti, który zdawał sobie doskonale sprawę z sytuacji. Papież powiódł swe szyki do ataku — i został pobity.

Było to zresztą łatwym do przewidzenia.

Włosi niemal wszyscy, bez względu na wyznanie i pietyzm katolicki, mają wrodzoną niechęć i nieufność do Watykanu. Uczucie owo wypływa z tradycji długich wojen o wyzwolenie, kiedy Watykan wzywał przeciw patryjotom włoskim pomocy bagnetów austryjackich i francuskich, przenosząc swą władzę polityczną doczesną nad interesa religijne i duchową godność Kościoła. Zjednoczone i wolne Włochy mocą t. zw. *prawa gwarancji* nadały papieżom wspaniałomyślnie niezawisłość i wolność ruchów w obrębie interesów czysto kościelnych. Wiadomo, że Watykan pozostał nieprzejednanym, odtrącając wszelką zgodę z Włochami. Wiadomo również, że główną podporą świecką Watykanu jest po dziś dzień Austrja, związana z papiestwem specjalną, rozległe prawa nadającą mu, umową; *konkordat* auatryjacki góruje pod tym względem nad wszystkimi innymi konkordatami. I to wreszcie zauważyć należy, że cesarz Franciszek Józef, przekładając sojusz z Watykanem nad sojusz z Włochami, dotąd wzbraniał się stale złożyć wizytę królowi włoskiemu, aby Stolicy Apostolskiej nie obrazić...

Watykan ze swej strony nie przestał reklamować praw swych do „władzy świeckiej"; ostatnio właśnie, w przeddzień wyborów, organ Watykanu *Osservatore*

Stanko No, Locie, chodźmy oglądać koniec najpiękniejszego dnia w naszym życiu.

Arjos Piękniejsze nastąpią, gdy zwyciężymy.

Po odejściu Stanka z Lotem Arjos pobiegł jeszcze do podkopu, wrócił i stanął przy oknie. Ręce mu drżały, twarzą targało tłumione wzruszenie. Czujnym wzrokiem chwytał mieniące się widoki a słuchem — odgłosy z ulicy. Co chwila spoglądał na zegarek. Sekundy kapały wolno, ciężko, jak krople ołowiu. Minęła godzina szósta, przesunął się po niej wolno szereg minut. Nareszcie wpadło do sutereny echo niedalekiego huku. Ila uśmiechnęła się dziko, Arjos wbił przez szybę oczy w ulicę, na której zerwał się gwałtowny ruch ludzi i przeleciały krzyki. Wpadła Dina.

Dina Minister zabity, Foral zarąbany, zdaje mi się, że Mador i Pera schwytani (*wybiegła*).

Arjos milczał i wciąż patrzył przez okno Do bramy gmachu policji wniesiono troskliwie jakiegoś trupa.

Arjos (*półgłosem*) Prowadzą Stanka strasznie pokaleczonego. I Litryn wzięty... Poznają go i przyjdą do suteren... Jeszcze za wcześnie.. Przyjechała pierwsza kareta, znowu dwie, trzy, cztery... król.

Cisnął się do piwnicy i po chwili wrócił. Zapaliłem!

Wyszli pojedyńczo. Do pustej maglarni wlewał się ciągle, zmieszany z różnych głosów, cichy i łaskotny szum: turkot kół, szczęk broni, rytm kroków żołnierskich, bieganie i krótkie rozkazy. Nagle zatrzęsła się ziemia, drgnęły ściany, szkło bryznęło z okien, światła znikły, zapadła ciemnota i cisza, miasto oślepło i zamarło. Po strasznym drgnieniu nastąpił spokój śmierci. Wtedy śród mroków piwnicy rozbłysła cała z ognia postać ducha, który uśmiechnął się szyderczym obliczem i zgasł.

OBRAZ VII.

Widok 1.

Ściany kancelarji więziennej, pomalowane szara farbą u góry a czarną u dołu, były nagie. Wyrażały one spokój zimnej obojętności, której nic nie dziwi i nic nie wzrusza. W jednej z nich drzwi do gabinetu naczelnika miały szklane okno, druga przeciwległa była w części siatką drucianą, za którą mała komnatka przylegała do zamkniętego i strzeżonego przez wartę korytarza więziennego. Kancelarja ta stanowiła jak gdyby wnętrze czaszki ogromnego ciała, w której urzędnicy byli

Romano miał nietakt naiwny przypomnieć o tym wszystkim wiernym swoim obrońcom... Te wszystkie czynniki spotęgowały niezmiernie niepopularność kleru, wywołały żywiołowy niemal odruch protestu i zapewniły lewicy wolnomyślnej świetne zwycięstwo.

* * *

A trójprzymierze? Jeśli p. Giolitti liczył na wzmocnienie żywiołów austrofilskich w nowej Izbie — spotkał go zawód zupełny. Skrajna lewica 106 członków licząca, znajdzie zapewne współdziałanie i współczucie u znacznej części liberałów, skoro sprawa trójprzymierza wejdzie na porządek dzienny. Stanowisko pana Tittoni, ministra spraw zewnętrznych, będzie wówczas nader niepewnym. Kryzys, którego rząd obecny usiłował uniknąć drogą rozwiązania Izby i ponownych wyborów — tym razem zażegnać się nie da...

Nienawiść do Austrji drzemie wciąż na dnie duszy włoskiej, na podkładzie potrójnym: uczucia, reminiscencji dziejowej i ambicji narodowych. Austrja podrażniła owo uczucie swym arbitralnym aktem na Bałkanach oraz maltretowaniem studentów włoskich na ulicach Wiednia; reminiscencje z czasów „*risorgimento*" nigdy nie wygasły i dziś jeszcze żywym rozlegają się echem; ambicja zaś narodowa ścierpieć nie może zależności od potężnego sąsiada.

To też Izba włoska gromem oklasków uczciła p. Fortis'a, byłego prezesa rady ministrów, gdy ów na pamiętnym posiedzeniu w listopadzie r. z. sformułował usposobienie Włoch tymi słowy:

„Jedno z dwojga: albo ustać musi ten anormalny stan rzeczy, przy którym wojna grozi nam jedynie ze strony mocarstwa sprzymierzonego, albo też, wobec niezmienności tego położenia, Włochy zdobędą się na politykę własną — politykę wolnej ręki!"

Leon Gorecki.

W sprawie serwitutów. *)

Wiadomo, iż uwłaszczenie włościan polskich nie wyniknęło bynajmniej wyłącznie z humanitarnych pobudek. Trudno nie dopatrzeć się podkładu politycznego w tym kroku rządu już choćby z tego tytułu, że wtedy, gdy w Rosji rdzennej sprawa ta była załatwiona za jednym zamachem, u nas operację rozłożono na raty, pozostawiając kwestję serwitutów włościańskich po dziś dzień nieuregulowaną.

Stąd wynikło zatamowanie rozwoju ekonomicznego kraju u jego podstaw t. j. w rolnictwie i wszystkich pokrewnych mu gałęziach wytwórczości.

Ukaz z dn. 19 lutego/2 marca 1864 roku oddawał na własność dziedziczną wszelką ziemię użytkowaną przez chłopów w roku Ukazu, wraz ze znajdującymi się na niej budowlami; utrzymywał w swej mocy wszelkie pożytkowanie z lasów i pastwisk dworskich, z jakiego włościanie korzystali.

Wszelki, bodajby chwilowy, lub wypadkowy stan rzeczy z roku 1864 nabrał nagle przedziwnej stałości.

Rozwój normalny życia wiejskiego został w leniwym swym biegu jednym pociągnięciem pióra wstrzymany, jakgdyby pod nagłym, a silnym mrozem zaskrzepł, skamieniał i, w nieskażonej z onych dni—formie, po nasze przetrwał czasy.

Przypadkowość odegrała zasadniczą rolę w sprawie uwłaszczenia.

Przypuśćmy, że w roku owym dla jakichkolwiek przyczyn, być może osobistych zatargów, dziedzic zmniejszył chłopom ilość zbieraniny leśnej, lub ograni-

*) Ponieważ ważna ta sprawa jest obecnie na porządku dziennym i wywołala już żywą wymianę zdań w prasie, zamierzamy jej poświęcić więcej miejsca udzielając kolejno głosu ludziom blizko ze stosunkami rolnymi i sprawą służebności obeznanym, zanim wyjaśnimy nasze własne stanowisko w tej kwestji. Po obecnym artykule wyrażającym opinję doświadczonego ziemianina, pojawi się na szpaltach „Prawdy" artykuł w tej samej kwestji pisany przez chłopa.

---

zwojami mózgu, naczelnik — wolą a pełne akt szafy — pamięcią. Przy trzech biurkach, oświeconych lampami, siedzieli urzędnicy zajęci w milczeniu pisaniem.

Urzędnik 1 Czy wszyscy policjanci zawiadomieni o rewizjach?

Urzędnik 2 Trzydziestu w pięciu grupach.

Urzędnik 1 Jeszcze jedna dodana. Trzeba sześciu dołączyć.

Urzędnik 3 Chyba niedługo wytrzymają oni taką robotę. Od dziesięciu dni nie spali ani jednej nocy.

Urzędnik 1 Mogą spać w dzień.

Urzędnik 3 Bynajmniej. Od południa muszą być na służbie.

Urzędnik 1 Niema na to rady.

Urzędnik 3 Możnaby co kilka dni urządzać przerwy.

Urzędnik 1 I owszem, ale niech je również urządzą przestępcy.

Urzędnik 3 To nie ma znaczenia, czy który z nich będzie aresztowany dobę wcześniej, czy później. A łowy byłyby pomyślniejsze i nie zdarzałoby się to, co dzisiejszej nocy, że wszyscy osaczeni umknęli zaspanym i znużonym policjantom, którzy goniąc uciekających, połapali na ulicy niewinnych przechodniów.

Urzędnik 1 Tak, mundur jak kataplazm rozmiękcza najgrubszą skórę. Gdyby ci delikatni panowie byli przemytnikami lub kłusownikami, co noc polowaliby lub przenosili kontrabandę i nie czuliby się znużeni. Niech się przypatrzą temu drukarzowi rewolucyjnemu, Klimenowi. Worek ogryzionych przez głód kości! Pół roku podobno bez przerwy w dusznej dziurze składał czcionki. Ponieważ odmówił zeznań, ażeby go złamać, posadzono go na twardym i chwiejnym zydlu, a czuwający przy nim ciągle strażnicy od trzech tygodni nie pozwalają mu nawet na chwilę zdrzemnąć się. Mimo to jest rześki, przytomny i uparcie milczy.

Urzędnik 3 Ci zbrodniarze są z jakiegoś innego, nieczłowieczego materjału. Gdyby oni byli podobni do ludzi, czyżby się narażali na więzienia, kary, śmierć — bez żadnej dla siebie korzyści? Bo co spodziewają się wygrać? W najlepszym wypadku nie zostaną złapani i będą się kryli jak ścigane wilki.

Dzwonek z gabinetu wezwał urzędnika 1.

Urzędnik 3 Naczelnik dziś zły, fuka jak lokomotywa.

Urzędnik 2 Jutro imieniny jego żony. Chciał wyprawić podwieczorek w ogródku z koncertem i tańcami na świeżym powietrzu. Tymczasem aresztowanymi zapakowano wszystkie próżne sale, tak że nie ma którędy przeprowadzić gości z jego mieszkania za więzienia.

(D. C. N.)

czył liczbę krów na dworskich pastwiskach i polach, to i po dzień dzisiejszy wnuki tych ofiar losu cierpią zimą chłód, a brak mleka w lecie.

Tam przeciwnie, gdzie stosunki z dworem były znośne, gdzie włościanie korzystali szeroko z lasów i pastwisk dworskich, dzieciom ich i wnukom po wszystkie czasy pozwolono wywozić z lasów drzewo w tej samej obfitości, paść tę samą ilość krów, co onego historycznego lata.

Łatwo domyślić się, jak rożnorodne z onego zarządzenia wynikło poplątanie pojęć i stosunków, a to tym bardziej, że przysłani w tej sprawie do kraju urzędnicy robili co tylko mogli, by chaos i zamieszanie powiększyć.

Łatwo sobie wyobrazić, że uprawnieni do korzystania z lasów i pastwisk włościanie starali się w całej pełni wyzyskać przysługujące im prawo.

Właściciele majątków czynili znów wszystko, co było w ich mocy, by użytkowanie to do minimum ograniczyć.

Stworzywszy tego rodzaju sytuację, rząd rzucił między dwór i wieś kość wiecznych sporów, które bardzo umiejętnie pielęgnował, ba! nawet i pielęgnuje przy pomocy specjalnej procedury prawodawstwa włościańskiego.

Dla poparcia twierdzenia, że przy sądzeniu spraw służebnościowych nie chodzi absolutnie o wykrycie prawdy i istotnego stanu rzeczy, zaznaczę, że odbieranie przysięgi od świadków przez komisarzy do spraw włościańskich jest absolutnie wykluczone, oraz że wszelkie dokumenty piśmienne i mapy mają znaczenie nieskończenie mniejsze niż gołosłowne opowiadanie pierwszego lepszego świadka. Wobec tego, wyrok zapada najzupełniej wedle widzimisię pana komisarza. Mu pan komisarz słabostki demagogiczne, lub co się częściej zdarza, osobistą niechęć do dziedzica — wygrywają chłopi; gdy zaś odwrotnie, węzły przyjaźni łączą bogatszego posiadacza z p. komisarzem, biada wtedy chłopskim sprawom,

O sprawiedliwość w instytucjach włościańskich równie trudno jak o śnieg w lecie, pomimo że apelować można i to w bardzo szerokim zakresie.

Więc od wyroku komisarskiego, do gubernialnej komisji do spraw włościańskich, stamtąd — do Petersburga do Ziemskiego oddziału, a wreszcie i do Senatu.

Procedura trwa lata, świadkowie wymierają, zapominają wątku sprawy i swych pierwotnych zeznań, stosunki zabagniają się w najwyższym stopniu, ludzie zniecierpliwieni, zaczynają chwytać się doraźnych środków samosądu.

Niema statystyki zabójstw i poranień obustronnych, podpaleń i innych tym podobnych uprzejmości sąsiedzkich, wynikłych na tle nieuregulowanych serwitutów, szczególniej w tych miejscowościach, gdzie one obciążają grunta drobnej braci zagonowej, równie ubogiej jak i uwłaszczeni chłopi, równie ciemnej i zawziętej jak oni. Tam życie staje się wprost nie do wytrzymania. Urzędy włościańskie zawalone są skargami, sądy gminne sprawami o obelgi i pobicia, a i poważna kryminalistyka ma tu wdzięczne pole.

O ile w większych majątkach zobopólne porozumienie jest, za małymi wyjątkami, prawie zawsze możliwe, o tyle o dobrowolnej umowie między drobną szlachtą zagonową a chłopami prawie nigdy nie słychać i bez przymusowego uregulowania tej sprawy wieki całe przejść mogą, a ona krokiem się naprzód nie posunie, pielęgnując piękne zabytki przeszłości w postaci wspólnych pastwisk, szachownicy, kulki leśnej, trzypolówki i ograniczonej liczby włościańskiego bydła. Może czytelnicy zechcą mi towarzyszyć na przechadzkę po wspólnym pastwisku i do serwitutowego lasu szlacheckiego? Spacer ten zachwieje w nich niewątpliwie wiarę w możliwość wspólnego władania w społeczeństwach—na naszym stopniu rozwoju kulturalnego.

Po pastwisku proszę ostrożnie chodzić! Kępa tu obok kępy, kretowiska od potopu nie naruszone, nogę złamać łatwo! Trawa kwaśna, nietyle wyjedzona co już wytratowana, bydło i konie unurzane w błocie, wiecznie głodne. Pastuch, najczęściej pół-dziki idjota lub conajmniej kaleka, siedzi skulony na kępce pod krzakiem wikliny.

Rowów napróżno tu szukać. Od lasu nic nas zatym nie odgradza. Chodźmy do „lasu".

Miły, wysoce estetyczny widok! Zarośla sosny karłowatej z poobłamywanymi prawie do samego wierzchołka gałęziami, gienjalnym narzędziem zwanym „kulką", czynią wrażenie jakiegoś bezlistnego lasu z głębin lądu australijskiego na nasz grunt przeflancowanego.

Drzewo budulcowe w tych warunkach rosnąć nie może. W zagajnikach, z chwilą gdy tylko trochę od ziemi odrosną, rozpoczyna się systematyczne pasanie bydła.

A w zagajnikach, szczególniej w samosiewowych, gdzie wschód jest niezmiernie nierówny, nawet w cokolwiek starszych, jest mnóstwo młodzieży w stadjum niesłychanej wrażliwości na wszelkie mechaniczne uszkodzenia, których przy pasaniu bydła niesposób uniknąć.

Niechno zaś las podrośnie, zjawi się wnet chłop z „kulką" (sznur z hakiem do obłamywania gałęzi) i zacznie swą pracę niweczącą ostatecznie to, czego bydło nie zdołało zniszczyć.

W dużych lasach, których właścicieli stać było na bardzo kosztowne i do przeprowadzenia trudne tak zwane „urządzenie lasów" i zamianę wjazdów do lasu z siekierą lub kulką na pewną ilość corocznie wydawanych włościanom sążni drzewa szczapowego, kwestja drzewostanów daleko lepiej się przedstawia, niemniej jednak i tu pasanie bydła w młodocianych zagajnikach kwitnie w całej pełni.

Jednym słowem ukaz złą gospodarkę leśną, rabunkowe plondrowanie lasów zamienił na regułę, o wyjątki od której należy się specjalnie starać.

Czy włościanin korzystający z serwitutów może porządnie gospodarować? Moim zdaniem stanowczo — nie!

Dziś niema i być nie może gospodarstwa włościańskiego bez chowu bydła i koni. Serwituty w większości wypadków stoją na przeszkodzie racjonalnej hodowli. Nie tylko pastwiska, gdy należą do wszystkich, są w opłakanym stanie, lecz włościaninowi serwitutowemu nie wolno pasać tylu sztuk, ile on dla swego gospodarstwa uzna za stosowne, a jedynie tyle ile ich ma zapisanych do tabeli likwidacyjnej 1864 r. Niechno zechce trzymać konie, a ten nie figuruje w urzędowej tabeli, wnet dziedzic wyjedna wyrok komisarski o skasowaniu konika, dla którego prawnie, a no i faktycznie, trawa na pastwisku nie urosła. Trzeba zaś przyznać, że siła robocza, pociągowa i nawozowa, wymagalna przed 45 laty była znacznie mniejsza, niż ta, którąby dziś należało stosować.

W tych warunkach o postępie w gospodarstwie włościańskim nawet i mowy być nie może. Gospodarstwo folwarczne również nie wygrywa na istniejących serwitutach.

Wedle likwidacyjnych tabeli większości folwarków, włościanom wolno jest pasać bydło po sprzęcie zbóż i na ugorach, czyli prawnie—gospodarstwo, obciążone serwitutami, nie może się wyzwolić z trzypolówki. Należy jak dziad pradziad zostawiać ugory, zaniechać międzyplonów, nie wolno podorywać rżysk, to jest uskuteczniać roboty, od której natychmiastowego po sprzęcie zbóż wykonania w całości niemal zawisł urodzaj okopowych, bez których żadne postępowe gospodarstwo istnieć nie może. Przez sprawę nieuregulowanych serwitutów marnieje nasze bogactwo rolne

i leśne, włościańska hodowla inwentarza cierpi i rozwijać się nie może, w ciągłych kłótniach i zwadach deprawują się dusze i charaktery; uspołecznienie i instynkta obywatelskie zamierają u ziemiaństwa i ludu.

Wobec aż tylu złych stron systemu serwitutowego należy koniecznie usunąć przyczynę zła.

(D. n). *M. D..ski.*

Z DNA NĘDZY.

Musi mieć inną szalę Twoja waga,
Inaczej byłoby zbyt smutno... do dna.
Staff.

A końcem jego będzie kaźń i kraty,
Gdy los łaskawszy, szpital i przytułek —
Oto są błędne, beznadziejne kwiaty,
Które wyklęty hoduje zaułek.
Staff.

I. Niezawodny przytułek.

Areszt policyjny w ratuszu przedstawia się moim oczom jako dno nędzy. *Lumpen-proletarjat*, znany nam tylko z opowieści lub krótkiego przelotnego zetknięcia — tu współżyje z nami w całej swej moralnej i materjalnej niedoli, nagością swoją krzyczący. Wszystko tu głuszy olbrzymi głos „wyklętych wyrzutków, których pięść krzywdy w twarz bije znienacka".

Okropne obrazy przesuwają się jak sen nigdy nie zapomniany.

Sceną, na której rozgrywały się przed moimi oczyma codzień, co chwila nowe tragiedje, to IV-a cela na oddziale kobiecym. „Sala" wielka, brudna, źle oświetlona, zimna i wilgotna. Jedna ściana ocieka wprost wilgocią, przylegając do t. zw. (w ratuszowym języku) „Dumy", po której ścianach dla porządku dniem i nocą spływa woda. Wielką izbę źle ogrzewa jeden piec, często zimny zupełnie, bo węgiel, gdzieś w drodze do tego pieca ginie. Wzamian za to, aby w sali było ciepło, okna są szczelnie zabite.

Okna te małe, brudne, zakratowane, okapem zasłonięte, niewiele dają światła. Wieczorem salę zalegają ciemności, których rozproszyć nie może jedna mała, kopcąca lampka, umieszczona wysoko w oknie wiodącym na korytarz. Lepiej to może, że obraz tej izby w mroku ginie, traci na ostrości; wygodniej śpimy, nie oglądając go dokładnie.

Środek izby zajmuje ogromna prycza, na niej leżą sienniki, zawsze w ilości mniejszej niż liczba aresztantek; na podłodze pod ścianami i w przejściu szereg sienników, zajętych przez stare i chore aresztantki, które na wysoką pryczę dostać by się nie mogły. W izbie niema ani ławki, ani stołka (o męce, jaką sprawia niemożność siedzenia — dobrze wiedzą ci, którzy dłuższy czas w areszcie policyjnym spędzili). Powietrze jest tak mroczne, ciężkie, wilgotne, nieczyste, że wchodzący w pierwszej chwili nie rozeznaje dobrze przedmiotów, a jednostki o wrażliwszym powonieniu i słabych drogach oddechowych duszą się lub dostają mdłości.

W sali (w której w zimie uniemożliwiono wietrzenie przez zabicie okien) przebywa przeciętnie 25 — 45-ciu kobiet! Czuć tam pot, brud i wszelkie wyziewy ludzkie.

W starym budynku brak wszelkich udogodnień, koniecznych dla higjeny i porządku — poza tym jeszcze aresztantki są wprost pozbawione możności utrzymania osobistej czystości. W więzieniu niema nietylko wanny, ale nawet umywalni; myć się można tylko na korytarzu przechodnim — pod zlewem, ale do tego mycia brak im mydła i ręcznika (ofiarowane aresztantce mydło, umożliwiające jej wypranie koszul i wymycie rąk — przyjmowane jest jak skarb). Ogół aresztantek nie myje się wcale, uważa to za przywilej „politycznych"; — poprzestają na rzadkim zresztą chodzeniu do łaźni. Grzebień w areszcie policyjnym należy do przedmiotów nieprawdopodobnego zbytku. Gdy pierwszy raz zwróciłam na to uwagę, na 38 kobiet żadna nie miała grzebienia, a ofiarowane przez B. Prusa kilka tuzinów grzebieni musiałyśmy rozdawać b. oszczędnie, by na dłużej starczyły. Młodsze „elegantki" przyczesują się grzebykami, służącymi zazwyczaj do podpinania fryzur, starsze nie czeszą się wcale. Roją się też od robactwa głowy i odzież aresztankek, sienniki, prycze, nawet podłoga więzienna.

Ogół aresztowanych na ulicy nie ma bielizny na zmianę, siedzą w tych brudach przez kilka tygodni, w tej samej koszuli, której dla braku mydła wyprać nie mogą. Brak der zmusza do sypiania w ubraniu; o nędzy tych łachmanów mówić nie potrafię.

Wiele z pomiędzy starych kobiet *nie może* lub nie chce się podnosić z siennika, załatwia wszystkie potrzeby fizyczne leżąc na swym barłogu, potym leży w mokrej i cuchnącej odzieży, na mokrym i cuchnącym sienniku. Podłoga w celi bezustannie zmoczona i brudna. Do okropnego odoru niemało też przyczyniają się drewniane „parasze", które na noc wstawiają do celi (cela w nocy jest zamknięta, dzwonka w niej niema). Raz w nocy słyszałam jak aresztantki dobijały się do drzwi przez długi czas — nie zdołały jednak zbudzić śpiącej na odległym korytarzu dozorczyni. W tych *samych paraszach* przynoszą wodę gorącą do mycia podłóg.

Wobec takich warunków niczym są już braki łyżek, noża, naczyń do picia (wodę pija się z kranu ustami), niemożebność porządnego wyszorowania miski metalowej (z której jadają) bez piasku, ścierki, wody gorącej.

Aresztantki otrzymują rano chleb czarny, dwa razy dziennie gorące jedzenie: śniadanie i obiad oraz wodę gorącą na herbatę.

Te które herbaty nie posiadają, piją dla rozgrzania się czystą wodę. Jedzenie przynoszą w drewnianych naczyniach. Nie mogłyśmy rozstrzygnąć, czy naczynia te, czy też samo jedzenie ma silny, bardzo przykry kwaśno-gryzący zapach — w każdym razie tak silny, że na czas wydawania jedzenia zamykałyśmy szczelnie drzwi naszej celi na korytarz, otwierając jednocześnie okno, aby nie zatruwać powietrza w naszej celi.

W takich warunkach lokalnych siedzą zamknięte aresztantki bez zajęcia. Zgnębione swą niedolą, jedyną rozrywkę znajdują w opowiadaniach najczęściej smutnych lub strasznych. Natłoczone, potykające się jedna o drugą, obce sobie, o odmiennych upodobaniach, sprzecznych często interesach, w natłoku, w złych warunkach fizycznych, zdenerwowane życiowymi klęskami i przymusową bezczynnością, — co chwila prawie wpadają w kolizje. Cały też dzień słychać w celi wymyślanie, kłótnie, nierzadko płacz i razy. Ileż ulgi doli ich przyniosłoby jakiekolwiek zajęcie. Ogół aresztantek chętnie chwyta podsuwaną im pracę, o ile nie jest ona przymusową pracą dla więzienia. Te, które umieją czytać, nawet w tych niedogodnych warunkach czytywały pożyczane im książki o treści lekkiej i łatwej formie. Chętnie też szyły, robiły szydełkiem i t. p. zwłaszcza jeśli mogły pracować dla siebie (szyć koszule, obrębiać ręczniki, chustki, robić ciepłe włóczkowe rękawki, stopy i t. d.) lub wyrabiać coś na sprzedaż. Widziałam jednak i takie, które bardzo chętnie szyły dla słabszych, biedniejszych.

Męką aresztantek jest brud, męką jest natłok, lecz bezsprzecznie i męką straszną jest bezczynność.

II. Starość bezdomna.

Celę IV zowią zwykle „celą kryminalistek". W ciągu dwumiesięcznego mego pobytu w areszcie policyjnym przekonałam się, że nazwa ta nie odpowiada zupełnie rzeczywistości. Kryminalistki spotyka się w więzieniu śledczym na „Serbji", w ratuszu stanowią małe odsetki;—tu męczy się tłum aresztowany na ulicy, to sala nędzy ulicznej.

Podzielić je można z gruba na kilka grup: staruszki, prostytutki i jednostki aresztowane na skutek zajść, zatargów z policją. Stare kobiety „babiny" stanowią olbrzymi procent aresztantek policyjnych, a w miesiącach zimowych stanowią czasem więcej niż połowę uwięzionych. Słabe ptaki padają na mrozie. Bezsilne, samotne, bezdomne, bez środków do życia, wreszcie bez... papierów,—aresztowane przez policję na ulicy, osadzone w ratuszowym areszcie, zwykle wysyłane potym etapem na miejsce urodzenia.

Nędza i nieszczęście starości. Wiele z tych kobiet nie ma sił o własnej mocy przejść przez korytarz więzienny, do aresztu wprowadzają strażnicy wspierając je. Pada taka babina na siennik i leży cicho, na wpół umarła. Zarząd więzienia probuje umieścić je w przytułku — niema miejsc. Wiozą do szpitala jednego, drugiego, — lecz i tam niema miejsc. Widziałam tak bezsilną staruszkę, że strażnicy nieśli ją przez korytarz na sienniku, umieszczono ją w szpitalu.

W dwa dni odesłano ją z powrotem do ratusza: nie była przecież chorą, była tylko starą. Więc leży taka biedota po kątach, na brudnych siennikach, aż przyjdzie dzień oznaczony, podniosą, pomogą wstać i wiozą do etapowego więzienia, gdzie czeka na wysyłkę do miejsca urodzenia. Co to kogo obchodzi, że obdarta, bosa, o własnej sile iść nie mogąca, nie rozumiejąca często, co do niej mówią; że tam dokąd ją wiozą nie ma nikogo, nie zna nikogo; cóż to kogo obchodzi, jak ona tam żyć będzie. „Miłosierna Warszawa" oczyszcza się z nędzy ulicznej.

Nie patrzmy na te twarze znękane, na te stare i bezsilne członki, bo może nam przyjść na myśl, że ludzkim prawem istotom tym należy się opieka; nie patrzmy na te ręce od pracy zgrubiałe, bo mogłoby nam się zdawać, że społecznym prawem należy im się odpoczynek.

„Pani droga, mówi do mnie jedna, mam 68 lat, pracować już nie mogę, dzieci nie mam, cóż ja mam robić? muszę żebrać".

„Ciężkie czasy przyszły, mówi druga, wyjdzie człowiek na ulicę, aby grosz uprosić, policja łapie. Z czegóż ja mam żyć sierota"? „Mąż ślepy, ja chora, skarży się inna,—poszłam ludzi prosić, upadłam na ulicy, podnieśli, do szpitala oddali—a teraz do ratusza na dwa tygodnie „odsiadki" za żebraninę. Jak tu żyć! Śmierć brać nie chce, a ludzie żyć nie dają".

Biedne suche wierzby, których gałęzie zielenią się jeszcze mimo starości!

Słysząc te skargi, patrząc na te łachmany ludzkie, myśląc o tym, co dalej z nimi będzie, przypominałam sobie, że podobno... gdzieś w Indostanie u buddystów szanują żebractwo. Ale my jesteśmy cywilizowani. Na przytułki dla starców nas jeszcze nie stać [1]), nie stać nas jeszcze na emerytury starości — ale żebrać u nas już nie wolno. Chronią nas od mogącego oszukać żebractwa. Tak, sama widziałam w ratuszu względnie młodą żebraczkę, przy której w czasie rewizji policja z oburzeniem znalazła aż 26 rb. Kawał grosza! Coprawda żebraczka ta była... ślepa. Tak, ale inne?... Przecież nie wszystkie są ślepe, nie wszystkie chore, a że są ślepe na duszy, że chore na nędzę życia, to dojrzeć trudno. Na szczęście w Warszawie nie wolno żebrać!

U niektórych dzikich ludów obowiązek moralny nakazuje zabijać starców; my, bardziej cywilizowani, jako ostatnią zdobycz życiową dajemy im areszt, policyjne więzienie. A przecież raz, kiedy użalałam się nad ich niedolą, jedna rzuciła mi okropne słowo: „lepiej tu niż w domu — mniej biją, jeść dają". Beznadziejne tragiedje starości. Niema dla niej miejsca na świecie: ani w kółku rodzinnym, ani w szpitalu, ani w przytułku — areszt miłosiernie przytuli, przygarnie na chwilę, potym rzuci etapom na pastwę. Czasem od etapu ratuje śmierć.

...„dobry Boże, gdy się zdarzy dzień zrozpaczenia, z którego nie wstaną, Daj im łask łaskę, to szczęście nędzarzy, Daj im śmierć nagłą i niespodziewaną"...

Przychodzi do aresztu cicho i niepostrzeżenie zabiera ofiarę. Nikt nie spostrzega, że z pośród tłumu żywych, ubył jeden człowiek, jedno życie, że skończyła się męka jednego nędzarza.

. . . .

W ratuszu są jednak ręce, które niosą tym starcom pomoc, ręce naprawdę miłosierne (miłosierniejsze od tych co grosz rzucą, trudy urządzenia balu ponoszą) to ręce towarzyszek niedoli, aresztantek, ciemnego tłumu dziewcząt o których rozpaczamy, że nikt nie rozwinął ich uczuć, nie wychował ich duszy, a na barki których, w instytucji społecznej zwanej aresztem policyjnym — spada ciężar opieki nad starcami, ciężar, który społeczeństwo z siebie zrzuciło.

Na korytarzu więziennym często rozlega się krzyk, wymysły młodych na „stare baby", na ich niedołęstwo, nieporządek. Często słyszałam nawet żałosny płacz bitych staruch. Czy można się jednak dziwić, że dziewczęta niechętnie obsługują obce im kobiety, że gniewa je „nieporządek" bab tak dotkliwie dający się odczuć wszystkim mieszkankom aresztu? Gniew jednak stygnie prędko, jedna drugą uspokaja słowami „I my będziemy stare". Natomiast ileż razy widziałam młode aresztantki spełniające najniższe posługi przy starych: myły zawalane ciało; czesały [rojące] się od robactwa głowy, wspierały chwiejące się na nogach, podawały jedzenie, karmiły, ratowały chore, żebrały od nas ubranie dla obdartych.

My względnie do nich zamożne, inteligientki, wychowane przez dom i szkołę, uważane przez władze za „społecznice", „polityczne",— ofiarowywałyśmy czasem na ręce młodej porządkowej resztki obiadu, rosół, chleb biały, oddawałyśmy to... co pozostawało po zaspokojeniu naszych apetytów; — one są zawsze niedostatecznie, licho odżywiane, a przez cały czas nie zdarzyło mi się spostrzec ani razu, aby która z nich sama zjadła powierzoną jej żywność. Oddawały je zawsze tym, które w ich przekonaniu najwięcej jej potrzebowały.

Nie roztkliwiały się sentymentalnie, jak my, nad nieszczęściem starych, walczyły z nimi nieraz o swoje prawo bytu, traktowały je często z grubjaństwem ludzi prostych, bez wychowania, — ale one jedne dość były ludźmi, aby traktować „te stare" szczerze po ludzku.

(C. d. n.) *Stefanja Sempołowska.*

NA DOBIE.

Votum separatum posła Parczewskiego.

Poseł kaliski p. Parczewski opublikował w prasie list otwarty, w którym uchylił rąbek tajemnicy osłaniającej działalność Koła Polskiego. To wyłama-

[1]) Mimo, że sprawozdawca „Kurjera Warszawskiego" tak często chwali miłosierdzie tych, którzy litościwie,„ tańczą na rzecz przytułków dla starców.

nie się jego z pod obowiązującej solidarności i dyskrecji może wywoła niezadowolenie jego kolegów, ale każdy przyzna, że jest ono psychologicznie aż nadto zrozumiałe, a z punktu widzenia interesów ogółu — nietylko uzasadnione lecz chwalebne. Nikt nie ma prawa się dziwić, że poseł Parczewski, nie chciał ponosić solidarnej odpowiedzialności „za kompromitująco tchórzliwe zachowanie się posłów polskich po mowie ministra Szczegłowitowa, a nie był obowiązany jej ponosić, jako ten, który czynił wszystko, co do niego należało, by kolegów na jedynie właściwą i odpowiadającą ich godności naprowadzić drogę.

Oto czego chciał p. Parczewski:

„Odrzucona przez Izbę formuła — jak wiadomo —, obejmowała motywowane przejście do szczegółowego rozpatrywania poszczególnych numerów etatu, tym samym zaznaczała głosowanie nasze za odnośnym budżetem. Po przemówieniu ministra sprawiedliwości należało nam radykalnie zmienić stanowisko w stosunku do tegoż etatu i odpowiednią zmianę przeprowadzić w redakcji formuły. Słowa o zaśmieceniu sądownictwa wymagały natychmiastowego a bardzo silnego protestu. Zmieniona formuła powinna być motywowanym przejściem do zwykłego porządku dziennego, zaś do porządku głosowania należało wypowiedzieć nam krótkie, ale mocne oświadczenie motywujące nasze głosowanie przeciw etatowi ministerjum sprawiedliwości".

„Podobna zasadnicza zmiana możeby nawet ułatwiła skrajnej lewicy głosowanie za formułą i tym samym wpłynęła na jej przyjęcie. Ostatnie to przypuszczenie wypowiadam tylko w hypotetycznej a nie w stanowczej formie, bo kto wie, czy liczba głosujących z nami październikowców nie uległaby w takim razie jeszcze większej redukcji, zaś socjaliści w Izbie stanowią nieobliczalny politycznie żywioł".

„W każdym razie bez względu na przyjęcie lub odrzucenie wąskiej i drobnego znaczenia formuły, mocno umotywowane oświadczenie przeciw budżetowi ministerjum sprawiedliwości, było polityczną koniecznością sytuacji",

„Wniosek mój pod tym względem nie znalazł ednak żadnego poparcia".

Delegacja obywatelska.

Zapowiadane od dość dawna ciało doradcze Koła polskiego w doradczej raczej niż prawodawczej III Dumie — ujrzało światło dzienne d. 25 b. m. w lokalu Pracy społecznej, o czym najbliższa rodzina tj. Zarząd Towarzystwa Pracy Społecznej donosi dziennikom warszawskim.

Ochrzczono je imieniem „Delegacji Obywatelskiej" i włożono mu za zadanie „rozważanie aktualnych spraw krajowych i ustalanie co do nich opinji na użytek naszego przedstawicielstwa w Izbie Państwowej i Radzie Państwa".

Rozumie się, że niezależnie od istnienia Delegacji obywatelskiej, „aktualne sprawy krajowe" rozważane będą i w innych środowiskach, że nikomu nie odbiera się ani prawa, ani możności „ustalania co do nich opinji „wedle swego mniemania i na własną rękę, a pozostawia się już uznaniu naszego przedstawicielstwa w Dumie i Radzie Państwa, czy zechce zrobić użytek i z innych próbek opinji, czy też wyłącznie z dostarczanych jej na zamówienie przez urzędowego dostawcę, czyli Delegację.

Skład Delegacji stanowią 52 osoby jeszcze nie wymienione z nazwiska. Wiadome są natomiast nazwiska osób wybranych do wydziału. Przeważnie są to nasi dobrzy znajomi: były prezes Koła p. Roman Dmowski, który na tej drodze spełnia daną w *Głosie Warszawskim* obietnicę „organizowania opinji kraju", p. Zygmunt Balicki — ojciec narodowo-demokratycznego kościoła i ewangielista „Egoizmu narodowego", — pamiętny z I-ej Dumy p. Nowodworski — jeden hrabia, jeden książę — wogóle bardzo dobrane towarzystwo.

Nie psuje jego harmonji żaden przedstawiciel kół postępowych — i słusznie. Pocóż mają jedni drugim w robocie przeszkadzać i pocóż demokracja polska ma bezcelowo, „głosem wołającego na puszczy" obwieszczać swą opinję o sprawach aktualnych Kołu polskiemu, które z niej i tak użytku nie zrobi?

Uwagi nie na czasie posła Skarzyńskiego.

W parlamencie niemieckim rozwinęły się znamienne obrady o polityce zagranicznej Niemiec, rozpoczęte tryumfalnym przemówieniem ks. Bülowa, który przez ostatni fakt zwycięstwa trójprzymierza, a może już tylko dwuprzymierza, umocnił wielce swoje stanowisko. Zwycięstwo Austrji — jest zwycięstwem sprawy niemieckiej, mówił ks. Bülow, o czym zresztą nikt nie wątpił. Mniej ufności budzą zapewnienia o niezmiennie przyjaznym stosunku do Anglji, dla których gorączkowa robota w angielskich i niemieckich dokach przy budowie pancerników dość osobliwy stanowi komentarz.

W ciągu dyskusji, jaka się po mowie Bülowa nad położeniem politycznym wszczęła, zabrał głos i przedstawiciel Koła polskiego p. Witold Skarzyński i oświetlił sprawę ze swego stanowiska. „Niemcy i Austrja powinny działać w porozumieniu ze sobą, inaczej bowiem zostaną odosobnione; temu jednak przeszkadza przyjaźń Niemiec z Rosją. Ze zmianą położenia na Wschodzie wyjaśniły się niewyraźne dotychczas stosunki tych trzech państw. Przeciw sobie stają z jednej strony Rosja — jako świat słowiański, z drugiej Niemcy i Austrja, jako giermański. W razie zacieśnienia węzła sprzymierzeńczego pomiędzy Niemcami a Austrją, polityka uciemiężania germanizacyjnego długo trwać nie może i rzuci wreszcie w objęcia Rosji wszystkich Słowian zachodnich. Jaki byłby wynik połączenia się wszystkich Słowian z Rosją na czele, wątpliwości pod tym względem chyba rząd niemiecki niema. Niech więc—kończy Skarzyński — Polakom w Prusach nadane będą te prawa, z jakich korzystają Rusini w Galicji,—na początek Polacy będą i z tego zadowoleni.

Gdyby ta mowa była wypowiedzianą przed rozwiązaniem ostatniego zatargu, byłaby ona może zbyt optymistyczną ale zrozumiałą. Wygłoszona dziś — po tak dokładnie i jaskrawo wyświetlonej sytuacji, razi dziwnym anachronizmem. O rzuceniu się w objęcia Rosji wszystkich Słowian zachodnich — nie marzy już teraz nawet hr. Bobryński, w zjednoczenie się przeciw Niemcom całej Słowiańszczyzny z Rosją na czele przestali wierzyć nietylko pp. Kramarz i Dmowski ale nawet ks. Jerzy Karadżordżewicz. Trudnoż przypuszczać, ażeby tak wytrawny polityk jak ks. Bülow, był dość naiwny by go można tak fantastycznym widziadłem przerazić. Inna rzecz, czy trwałe przymierze z Austrją zmusi z czasem Niemcy do zaprzestania giermanizacyjnej polityki względem Polaków. Dotychczasowe trójprzymierze bynajmniej tego uszlachetniającego wpływu nie wywierało i z góry można przypuszczać, że chyba pod grozą zerwania, t. j. skutkiem zachwiania się stosunków z Austrją, Niemcy swą politykę polską zmienić będą zmuszone. Pamiętajmy, że właśnie nieporozumieniu sąsiedzkiemu, to jest klęsce pod Sadową—galicyjscy Polacy zawdzięczają swe względne swobody.

Nawet w najlepszych intencjach zmieniać fakty lub oświetlać je błędnie nie prowadzi do celu, jeżeli się zaś chce pozyskać jasny pogląd na położenie swego narodu i trafnie wykreślić dla niego linję polityki, trzebaż prze-

dewszystkim uwzględniać bogatszy materjał, niż ten, jakiego ciasny teren wielkopolski dostarczyć może. Polacy poznańscy zbyt często zapominają o ciekawym a niezbyt odległym kraju zwanym Królestwo Polskie, tak mało im znanym, że na jego temat snują nieraz fantastyczne hipotezy, jakby to była np. środkowa Afryka.

Cenną informację dla posła Skarzyńskiego stanowić by mogły naprzykład słowa posła do Rady Państwa pana Korwina - Milewskiego, który niezmiernie trafnie zauważył, że obelga rzucona Polakom przez ministra Szczegłowitowa stanowiła już sama przez się wróżbę pokoju i dowód jaknajprzyjaźniejszych stosunków między Niemcami i Rosją. O temperaturze tej formalnie niezakontraktowanej lecz głęboko zakorzenionej przyjaźni ks. Bülow jest zapewne tak dobrze poinformowany, że musiał z ironicznym uśmiechem słuchać wywodów Polaka, opartych na rzekomo naturalnym antagonizmie między Rosją jako przedstawicielką rasy słowiańskiej, a rasą giermańską reprezentowaną przez Niemcy.

Bibljoteka miejska w Krakowie.

Naukowy arystokratyzm Krakowa zmienia charakter pod wpływem instytucji oświatowych, pracujących z powodzeniem od lat kilkunastu Gdy dla motłochu uważano do niedawna za wystarczające szkoły i skąpe broszurki ludowe, teraz mamy dwa uniwersytety ludowe i myślimy od lat paru o założeniu bibljoteki miejskiej ku użytkowi warstw najszerszych.

Pierwszy drukowany projekt takiej bibljoteki wyszedł z pod pióra Karola Estreichera, bibjotekarza z krwi i kości, który zrozumiał potrzeby czytelnictwa w mieście. Istniejące przy Tow. Szkoły Ludowej oraz Uniwersytetu Ludowego im. Ad. Mickiewicza bibljoteki cieszą się olbrzymią frekwencją. Rozrzucone po mieście wypożyczalnie książek t. zw. III koła T. S. L. zbierają w każdą niedzielę gromady wypożyczających Każde stowarzyszenie stara się mieć własną bibljotekę. To też projekt zjednoczenia tych wszystkich księgozbiorów omawiany był już parokrotnie na posiedzeniach Rady miasta. Na razie pozostawić chciano poza nawiasem radykałów, pomijając najliczniejszą i najlepiej dobraną bibljotekę i czytelnię pism Uniwersytetu Ludowego. Zarząd U. L. upomniał się o swoje prawa i podniósł dotychczasowe zasługi, a nawet oddać chce swój dorobek, jeżeli bibljoteka odpowiadać będzie jego celom i wyobrażeniom. Ponieważ z powstaniem Wielkiego Krakowa urzeczywistni się prawdopodobnie projekt bibljoteki miejskiej, wydaną została przez N. Z. broszurka, [1]) która stawia następujący dla niej program: Bibijoteka posiadać musi własny gmach na księgozbiór, oraz stacje w różnych okolicach Krakowa, gdzie książki zamawiać i otrzymywać by można. Stacjami takimi byłyby dotychczasowe instytucje oświatowe. Bibljoteka nie będzie służyła do pracy naukowej, nie będzie kolekcjonowała zabytków przeszłości, ponieważ oba te zadania spełnia bibljoteka Jagiellońska, najbogatsza w Polsce (390 tys. dzieł i przeszło 5,000 rękopisów). Pomimo to zasób jej książek powinienby dojść do 150 tysięcy tomów, licząc na mieszkańca tom, jak się to czyni w Anglji. Ponieważ ta cyfra jest nieosiągalna, zadowolić się trzeba na razie 40 — 50 tysiącami. Mniejsza liczba nie odpowiedziałaby potrzebom Wielkiego Krakowa.

Projektodawcy oprócz budynku preliminują na założenie 50 tys. koron oraz roczną kwotę 20 tysięcy na utrzymanie i dopełnianie. Ponieważ opłaty za wypożyczanie dałyby najmniej 7 tysięcy, na miasto przypadłoby 13 tysięcy. Byłaby to zaledwie ośma część tego, co przeznacza się „na pilnowanie dobrych obyczajów, na karcenie skutków ciemnoty i nędzy", t. j. na policję konną i pieszą.

Za konieczne części składowe bibljoteki projektodawcy uważają: Czytelnię dzienników i czasopism ogólnych. Czytelnię naukową, Czytelnię dla dzieci do lat 14, oraz Wypożyczalnię.

zdg.

[1]) Bibljoteka miejska w Krakowie.

BADANIA NAUKOWE.

Liberalizm, solidaryzm i socjalizm.

I.

W sprawozdaniu z książki pp. Rappaporta i Goreckiego p. t. „Warstwy średnie w świetle polityki radykalnej" [1]). zaznaczyłem między innymi, że solidaryzm, jako systemat społeczno-polityczny, wymaga obszerniejszego omówienia, i dlatego poświęcę mu oddzielny artykuł. Uważam to za konieczne. Solidaryzm, względnie nowy (jako skończony systemat), wystąpił u nas przed kilku laty, ale bez powodzenia. Czy dlatego, że prorocy jego nie umieli go należycie zarekomendować, czy dlatego, że jego przeciwnicy nie chcieli lub nie umieli właściwie go zrozumieć, czy złożyły się na to obie te przyczyny i wiele innych, dość, że solidaryzm spotkało to, co spotkać go mogło najgorszego: zbagatelizowano go.

Jedni dosłyszeli w nim odgłosy liberalnych idei o samopomocy społecznej, których wyrazicielem był przed laty Schultze z Delitsch, inni znaleźli, że solidaryzm idzie po linji kolektywizmu, a więc w istocie swej nie różni się od socjalizmu, ale przystosowanego do potrzeb burżuazji, i ma na celu odwrócenie proletarjatu od jego rzeczywistych zadań i właściwej drogi. I jedno i drugie zdanie zupełnie niesłuszne, oparte na powierzchownych analogjach. Solidaryzm wskutek złego przedstawienia znalazł się w bardzo krytycznym położeniu. Powstał szereg utartych mniemań *za* i *przeciw* i stało się to, co zwykle się dzieje w takich wypadkach: jedni energicznie propagują solidaryzm, a inni już ich nawet nie słuchają, mając z góry gotowe odpowiedzi.

Stosunek taki do solidaryzmu wydaje mi się niewłaściwym i uważam dotychczasową krytykę solidaryzmu, z którą się u nas spotykałem, za zupełnie niedostateczną. Ten wzgląd właśnie skłania mnie między innymi do tego, aby solidaryzm ocenić bezstronnie, bez jakichkolwiekbądź z góry powziętych mniemań doktrynerskich. Nie mogę bowiem zgodzić się na to, że solidaryzm nie wyobraża żadnej odrębnej zasady, że jest poprostu niepotrzebny i wprowadza tylko zamęt do istniejącego już chaosu walczących ze sobą prądów i prądzików. Uczciwość krytyczna nakazuje mi szukać tego *czegoś*, co jest w solidaryzmie nowym, a raczej odrębnym od innych systematów społeczno-politycznych, aby wynaleźć właściwe jego wśród nich miejsce i znaczenie. Nie występuję ani w roli obrońcy, ani pogromcy solidaryzmu; chcę być tylko poszukiwaczem.

* * *

Ale przedewszystkim trzeba odpowiedzieć na pytanie, o jakim solidaryzmie mówić tu zamierzamy. Solidaryzm, jak każdy inny systemat społeczno-polityczny, stanowi obecnie pewien całokształt pojęć i za-

[1]) Nr. 13 „Prawdy".

sad, którym rozmaici uczeni francuscy, stojąc na wspólnym gruncie, nadali jednak pewne cechy indywidualne. Jest więc solidaryzm Gide'a, Bourgeois'a, Bouglé'go, Tanon'a i innych. Tak samo istnieje socjalizm Owen'a, Fourrier'a, Marxa, Kautsky'ego, Bernsteina lub Sambarta, albo liberalizm Rousseau'a, Constanta, Tocqueville'a, Milla, Spencera lub Faguet'a. Otóż nie mam zamiaru opierać się na poszczególnej teorji któregokolwiek uczonego, ale rozbieram solidaryzm w jego zasadach t. j. w tym, co między solidarystami jest wspólnego, co zatym stanowi jego istotę. Ustrzeże mnie to od bardzo częstego błędu czynienia zarzutów całemu kierunkowi z indywidualnych wniosków tego lub innego uczonego, z którymi inni mogą się nawet nie zgadzać.

Zestawiam przytym solidaryzm z innymi systematami współrzędnymi t. j. liberalizmem i socjalizmem, jako kierunkami dominującymi wraz z nim w społeczeństwie nowoczesnym. Wszystkie te trzy kierunki są dziełem ubiegłego stulecia, powstać bowiem mogły tylko z chwilą upadku przywilejów stanowych i oparcia się państw na idei wolności politycznej. Dopiero w warunkach stworzonego przez rewolucję francuską i za jej wpływem państwa nowoczesnego, zrodzić się mogło to swobodne starcie sił społecznych, bez którego rozwój liberalizmu, solidaryzmu i socjalizmu byłby niemożliwym. I tylko dla tych kierunków w czasach dzisiejszych jest miejsce. Słychać jeszcze wprawdzie od czasu do czasu echa „ancien régime'u", a z drugiej strony odzywają się groźne pomruki anarchizmu; głosy te wszakże nie mają wielkiego znaczenia jako zbyt niezgodne z dzisiejszymi pojęciami o państwie i społeczeństwie.

Dlatego też ograniczam się do zestawienia tylko liberalizmu, solidaryzmu i socjalizmu, zdaje mi się bowiem, że wyczerpują one wszystkie możliwe dzisiaj systematy społeczno-polityczne. Zestawienie zaś takie uwydatni nam najlepiej podobieństwa i różnice pomiędzy nimi. Zanim przejdziemy do właściwego naszego zadania t. j. wskazania różnic, zatrzymamy się na podobieństwach.

Liberalizm, solidaryzm i socjalizm to mają przedewszystkim wspólnego pomiędzy sobą, że stanowią systematy skończone, ogarniające całe życie zbiorowe człowieka. Każdy z nich ma zatym nietylko swoją teorję ekonomiczną, ale i swoją teorję państwową i politykę praktyczną, swoją podstawę socjologiczną, swoje rozwiązanie spraw bieżących, i swoją metodę działania.

Z tej wszechogarniającej ich treści wypływa, że każdy z nich uważa się za receptę szczęścia dla całej ludzkości, a przynajmniej każdego społeczeństwa, że żaden nie chce się przyznać do swego stanowiska klasowego.

Aspiracje solidaryzmu są nie mniejsze, niż liberalizmu i socjalizmu.

„Pomiędzy klasyczną ekonomją polityczną a systematami socjalistycznymi, mówi Bourgeois, wytworzył się pogląd, nie pośredni, ale wyższy... Nie idzie tu o usiłowanie pogodzenia grup i partji, ani o taktykę polityczną... nie przygotowuje się umowa, ale *synteza*". Tożsamo mówi Kurnatowski, w przedmowie do wykładów Gide'a. „Każdy program społeczny, mówi zupełnie słusznie, jest właściwie uogólnieniem warunków bytu i potrzeb jednej jakiejś klasy na wszystkich... Liberalizm jest zastosowaniem do całego społeczeństwa tych warunków, które są całkiem odpowiednie jedynie dla klasy wielkich kapitalistów. Socjalizm jest próbą zorganizowania społeczeństwa odpowiednio do tych potrzeb, które odczuwa dzisiejszy robotnik fabryczny... Radykalizm jest kierunkiem społecznym który najprędzej wszedł na drogę *świadomej syntezy* indywidualizmu i zbiorowości, — który tę syntezę sformułował".

Zupełnie tak samo *mutatis mutandis* sądzą o sobie liberalizm i socjalizm, czyli że według własnego o sobie wyobrażenia, kierunki te wzajemnie się wyłączają i każdy czuje się jedynym panem przyszłości, uważa się za syntezę sprzeczności społecznych.

Jest w tym wiele złudzenia, ale jak zobaczymy później, i pewna doza słuszności. Złudzenie polega na tym, że każdy z tych kierunków sądzi, że jakieś niezgłębione przepaście dzielą go od innych, że stworzy on systemat, nie mający nic wspólnego z innymi. Tymczasem tak nie jest. Liberalizm, solidaryzm i socjalizm stykają się na tylu punktach, tyle wzajemnie zaciągają pożyczek, że niemal bez siebie istnieć by nie mogły. Wszystkie one bowiem wypływają konsekwentnie z dzisiejszego ustroju społecznego i dadzą się z niego wyprowadzić. Najdalej idące reformy i przewroty, które wyobrazić sobie może solidaryzm lub socjalizm, doskonale mieszczą się w dzisiejszych systematach prawa cywilnego i państwowego, i żaden z nich nie przewiduje takich reform, któreby wprowadzały do nich nowe pojęcia lub unicestwiały istniejące; każdy z omawianych kierunków jest bowiem tylko konsekwentnym, ale jednostronnym rozwinięciem pewnych zasad, realizujących się już oddawna w życiu. Ale nie zrealizowanych!

Nie mówiąc o solidaryzmie i socjalizmie, które walczyć jeszcze muszą o uznanie swoich zasad, nawet liberalizm, który posiwiał już w walce wieloletniej, i zdobył częściowo władzę, prowadzić musi jeszcze walkę z resztkami „ancien régime'u", który znikł może z ustaw, ale tkwi jeszcze mocno w życiu pod postacią rozmaitego rodzaju i nazwy nierówności pomiędzy jednostkami, grupami społecznymi i narodami.

Położenie liberalizmu różni się od położenia solidaryzmu i socjalizmu tylko co do stopnia, ale nie co do istoty rzeczy.

Liberalizm, solidaryzm i socjalizm są to trzy oddziały jednej i tej samej armji, walczącej o zwycięstwo wielkiego hasła : wolności, równości i braterstwa.

Liberalizm wystąpił wcześniej do boju, więcej już zdobył trofeów wojennych; ale podążają za nim solidaryzm i socjalizm, i bezwątpienia nie bez trofeów powrócą z wyprawy.

Wspólny więc a wielki cel łączy omawiane przez nas kierunki; wspólne mają one podłoże pojęć i zasad.

Wspólność ta wszakże, jak mówiłem wyżej, nie wyłącza zasadniczych różnic, które usprawiedliwiają nawet ich wzajemny antagonizm.

Józef Lange.

LITERATURA i SZTUKA.

Bernard Kellerman: „**Ingeborga**". Tłumaczyła z niemieckiego Bronisława Neufeldówna. Warszawa 1909 Nakładem „Sfinksa".

Ingeborga" Kellermana — to jedna z tych rzadkich książek, których nie czyta się raz jeden, bo każą do siebie powracać, jako do skarbnicy piknęa, przebogatej w brylanty uczuć, kwiaty poezji i owo potężne tchnienie życia, życia wielkiego bólu i wielkiej miłości.

W tej książce obraz płynie za obrazem, a są coraz to piękniejsze, coraz bogatsze i coraz bardziej szalone, — aż wreszcie dochodzi poeta do takiej mocy uczucia i wznosi się na takie wyżyny fantazji, na jakie zdobyło się nie wielu twórców w całej współczesnej literaturze pięknej: to ów nadzwyczajny obraz snu Axela o uroczystym spaleniu zwłok boskiej Ingeborgi — na jasnym polu, wśród zieleni, na stosie zasianym kwiatami, — ażeby „wiatr mógł sypać popiół kwiatom w kielichy, dziewczętom na ponsowe usta,

biesiadnikom do pucharów, śpiącym dzieciom w otwarte buziaki, a skoro noc nadejdzie popiół zacznie błyszczeć, jak jarzące świece w ciemnych głębiach kościołów, w lasach ponad polami, w mrocznych komnatach, wysoko w ołowianych chmurach, głęboko w czarnym morzu. Błyszczeć ponad całym światem! To będzie Ingeborga".

Wielką również i z prawdziwym mistrzowstwem opisaną jest scena, kiedy chora Ingeborga, w bezprzytomnym stanie zwraca się ze słowami miłości do ubóstwiającego ją Axela i w końcu mówi: „Karolu, kocham cię, nie zdradź mnie przed Axelem". On zaś, wielki w swoim bólu, odgrywa rolę owego Karola, swego przyjaciela; — a kiedy objęła go ramionami, serce mu się szarpnęło i ucichło zupełnie w tym uścisku.

Akordem wielkiego tragizmu jest końcowy obraz książki, kiedy Axel podpala swój zamek, swój pałac szczęścia i rozkoszy i idzie — pijany bólem — w step...

Ingeborga narodziła się w lesie, w cudownym, szumiącym lesie. Była jasnowłosa, cała złocista, radosna i śpiewająca. Bogowie w swoim najlepszym dniu stworzyli Ingeborgę. Przyszła do Axela i stała mu się boską ozdobą świata, cudem i wszystką wspaniałością życia. Mieszkali wysoko na górze, po nad doliną i tam im miłość grała swoje pieśni. Chwilami jest w tym poemacie miłości coś z Salomonowej „Pieśni nad pieśniami", kiedy, naprzykład, idąc jasnym polem Axel mówi: „przystroimy się, dziewczyno, albowiem przyszło szczęście nasze! Włóżmy na głowę wieńce różane, gdyż jest lato; daj mi ręce twoje, ty kochana, patrz, będziemy ręce wznosili i tańczyli, bo łąki są zielone".

Kiedy Ingeborga zachorowała, Axel opowiada jej legiendy, ale ona uśmiechniona mówi, że najpiękniejszą ze wszystkich jest legienda o Axelu i Ingebordze.

Potym, kiedy Ingeborga wyzdrowiała... Ale nie! tej książki streszczać nie wolno, — każda jej strona ma w sobie tyle piękna, ile nie znajdziemy w setkach tomów zwykłej beletrystyki. Tłumaczce należy się uznanie: przekład dokonany został z całym pietyzmem, należnym takiemu utworowi.

Jan Barczyński.

TEATR ROZMAITOŚCI: **„Szkoła obmowy"** Ryszarde Brindleya Sheridona.

TEATR MAŁY: **„Lekarz na rozdrożu"**. Komedja w 5-ciu aktach Bernarda Shawa. Tłumaczył J. Ostoja-Szelnicki.

Przypadkowy zbieg okoliczności zrządził, że oba teatry warszawskie wystąpiły jednego dnia z premjerami dwuch sztuk angielskich: w Teatrze Rozmaitości wystawiono „Szkołę obmowy" Sheridana, w Teatrze Małym — „Lekarza na rozdrożu" Bernarda Shawa. Sto z górą lat dzieli od siebie te dwa utwory i, gdy pierwszy z nich przeszedł już próbę czasu i wyszedł z niej zwycięzko, drugi znajduje się dopiero w okresie zdobywania sobie przyszłości, jest przedmiotem zachwytów i napaści.

Gdy bezpośrednio jedną po drugiej ogląda się obie komedje, mimowoli nasuwają się porównania; myśl mimowoli stara się zapełnić dzielący je wiekowy podział, podsuwa zestawienia, sumuje wnioski, popycha do uogólnień zbyt może ryzykownych, ale tak natrętnych, że oprzeć się im trudno.

Sto lat — to olbrzymi szmat czasu i przemianom, które ze sobą niesie, dziwić się nie można, a jednak, gdy zetkniemy się z nimi oko w oko, gdy gdzieś przypadkowo odkryją się przed nami te różnice, dziwny przeżywamy moment, zdaje nam się, jakgdybyśmy nagle dostrzegli ruch wskazówek zegara, ten ruch, o którego istnieniu wiemy i każdej chwili przekonać się możemy, ale go niedoskonałym naszym wzrokiem nie dostrzegamy.

Bo jakże dalekie, jakże różne w całośc i najdrobniejszym szczególe są te dwie komedje.

U Sheridana czuć to szerokie pociągnięcie pędzla, które nie troszczy się o wydobycie nuance'ów, podbija swobodą i rozmachem; każda z jego postaci żyje swym, niebogatym, niezłożonym, ale pełnym życiem; jeden rys, jedna jakaś cecha wypełnia całą ich duszę: skąpiec jest tylko skąpym, plotkarz tylko plotkarzem. Czasami, zrzadka spotykamy tu połączenia duchowych pierwiastków: zazdrość wiąże się z zapalczywością, plotkarz bywa czasem również świętoszkiem, ale nigdzie nie stajemy wobec tego chaosu najsprzeczniejszych skojarzeń, w których lubuje się literatura późniejsza, nie dochodzimy do objęcia całej tej rozdźwięcznej symfonji, która składa się na głębiej i wszechstronniej oświetloną duszę współczesnego człowieka, gdzie jeden ton zwalcza i zdaje się wykluczać następny, gdzie jedno uczucie i wrażenie kłóci się z innym.

Sam tytuł posiada tu tę samą przejrzystość, która następnie uderzy nas w całym utworze. Autor chce nam pokazać szkołę obmowy i domyślamy się, że wprowadzi nas do jakiegoś salonu, w którym panie i panowie, próżniaczy wiodąc żywot, zabawiać się będą obmawianiem swych bliźnich. Znajdzie się pomiędzy nimi zapewne jakiś sympatyczny lekkoduch o złotym sercu, zakocha się w młodej, poczciwej dziewczynie, która zlęknie się jego opinji i wzdragać się będzie z oddaniem mu swej małej rączki. Młody panicz przetrwoni w dodatku swój majątek, stanie nad przepaścią, wówczas jednak zjawi się jakiś wujaszek z Ameryki, bogacz o jowialnym światopoglądzie. Ten pozna się na dobrym sercu swego marnotrawnego siostrzeńca, weźmie go za rękę, zrobi swym dziedzicem i z nad przepaści poprowadzi go na stopnie ołtarza, gdzie stuła nierozerwalnym zwiąże węzłem dłoń lekkoducha z białą rączką skromnej panienki. Zdemaskowaną też będzie wszelka świętoszkowatość, napiętnowana obłuda,zatrzęsą się w swych podstawach niektóre pewne zasady moralne, które wtedy już traciły swój kurs umówiony i wyprostują się drogi skrzywione, jakaś młoda lada Teazle rozczaruje się co do swego kochanka i wróci do swego męża, bo są jednak zdrowe zasady moralne, kategoryczne imperatywy, które tryumfować muszą. To przecież proste...

Inaczej u Shawa.

I tu chwieją się podstawy moralności, ale znikły święte granice nietykalności; tu chwieje się wszystko i nic nie jest opoką, a z każdego frazesu przegląda wykrzywiona, drwiąca twarz autora, który nie oburza się, ale szydzi, nie burzy jednych szańców, by wznosić inne, ale stanął ponad nimi i z sarkazmem na ustach przygląda się misternym gmachom mrowiska.

Nie pozostało tu nic z dawnej przejrzystości. Każda z przedstawionych postaci to dziwny zlepek najróżnorodniejszych pierwiastków, znikły uniformy i czarne charaktery, zdarły się szematy, zlały się farby, pomieszało się coś w tych duszach: lekarz uczony bakterjolog, który poświęcił swe życie na walkę ze szkodliwymi dla organizmu ludzkiego bakcylami, marzy o uszczęśliwieniu ludzkości przez uzbrojenie jej przeciw zarazkom gruźlicy, staje na rozdrożu i nie waha się odstąpić chorego, wydać go na śmierć, zabić go... Młody Dubedat, gienjalny niemal artysta i głęboki człowiek, pod którego frazesami czuć jednak wysoko szybującą myśl, jest jednocześnie notorycznym łotrem, który ma dość czelności, by zaproponować jednemu ze swych znajomych wykonanie na współkę szantażu względem własnej żony.

Miałem wrażenie, że Shaw przeholował w tym miejscu, że dał się unieść swemu satyrycznemu roz-

machowi, ale, właściwie mówiąc, charakterystyka wszystkich przedstawionych tu postaci jest nieco przesadną i wpada zbyt często w karykaturę. Całe to grono lekarzy wymyka się z ram satyry; w kreśleniu tych figur Shaw jest więcej pampflecistą niż satyrykiem. Chodziło mu o ośmieszenie świata lekarskiego i drobnomieszczańskiej cnoty tych kapłanów wiedzy, o przeciwstawienie im „ucznia Shawa", za jakiego podaje się młody Dubedat i wobec tego na drugi plan zeszedł i wątek akcji i budowa sztuki. Cały pierwszy akt poświęca autor na charakterystykę przedstawicieli rozmaitych metod i gałęzi medycyny: jest tu i chirurg, który wierzy jedynie w swój lancet, a usunięcie wyrostka robaczkowego uważa za najradykalniejszy środek zwalczania wszystkich bez wyjątku chorób, jest bakterjolog, który stosuje we wszystkich wypadkach najświeższe rodzaje szczepionek, ale uważa, że serum antidyfterjalne naprz. może również zwalczać postęp gruźlicy i t. d.

Sztuka właściwie zaczyna się dopiero w drugim akcie. Lekarz — bakterjolog, Sir Colenzo Ridgeon przyrzekł zająć się leczeniem młodego Dubedata, który jest suchotnikiem. Przyrzekł, gdyż pani Dubedat jest niezwykle sympatyczną niewiastą, a mąż jej wielce obiecującym artystą,ale jest on również skończonym łajdakiem, więc Sir Ridgeon, który w swej klinice ma tylko jedno miejsce wolne i musi wybierać między utalentowanym nicponiem, a starym kolegą,poczciwym niedołęgą, tego ostatniego bierze pod swą opiekę,a Dubedata oddaje w ręce blagiera Sir Ralfa, który zapomocą jakiegoś serum ułatwia mu przeprawę na tamten świat. Nie jest zupełnie wyraźnym, czy Ridgeon pragnie śmierci Dubedata, by się ożenić następnie z młodą wdową, czy rzeczywiście woli on ocalić przeciętnego poczciwca niż zdeprawowanego duchowo artystę, ale, jak powiedziałem, nie jakiś problemat interesuje tu przedewszystkiem Shawa, ale stworzenie galerji karykatur i to udało mu się znakomicie, choć straciła na tym sztuka jako całość, stała się długą i rozwlekłą.

Artyści teatru Małego znaleźli w tej sztuce, opartej głównie na rolach, bogate pole do popisu. Pan Orliński dał przepysznie wystudjowaną postać starego sir Patrika; p. Noskowski miał dużo werwy i z roli chirurga Cutlera stworzył bardzo wykwintną sylwetę. P. Pawłowska najtrudniejsze miała do spełnienia zadanie i w pierwszych trzech aktach, w których Shaw trzyma jeszcze na wodzy swą ekscentryczność, umiała wydobyć ze swej roli, która dotąd odpowiadała charakterowi jej talentu, dużo wdzięku i życia, gdy jednak następnie Shaw kazał je wykonywać łamańce psychologiczne z przywdziewaniem białej szaty i strojeniem się w kwiaty nad trupem męża, szczery jej talent nie umiał się pogodzić z tymi wybrykami paradoksalnego snoba, którym trąci tutaj Shaw.

Na zakończenie należałoby jeszcze dodać kilka słów o wykonaniu „Szkoły obmowy" Sheridana na scenie teatru Rozmaitości, które również mało pozostawiało do życzenia Po „Weselu Figara" „Szkoła obmowy" była drugim artystycznym czynem, który zapisać należy na dobro naszej sceny. Obsada ról była bardzo trafna a jej interpretacja, naogół biorąc, stała na wysokości zadania. Tyle tylko powiedzieć mogę w krótkiej notatce.

Stefan Gacki.

Warunki konkursu dramatycznego, urządzonego przez dyrekcję teatrów rządowych, zatwierdzono przez jenerał-gubernatora Warszawskiego.

Dla zasilenia repertuaru dramatu i komedji utworami oryginalnymi, Dyrekcja Teatrów rządowych ogłasza niniejszym konkurs dramatyczny na warunkach następujących:

1. ubiegające się o nagrodę utwory dramatyczne, napisane prozą albo wierszem, z wyłączeniem krotochwili i wodewilu, winny posiadać, przy koniecznej wartości literackiej, przymioty sceniczne o ile możności zastosowane do warunków teatrów Rozmaitości i Wielkiego i wypełniać mają całe przedstawienie;

2. nagrody ustanawia się trzy: za najlepszy z nadesłanych utworów rb. 1,000, za dwa następne, według uznanego przez sędziów stopnia ich wartości, rb. 500 i 300. Utworom, które nagrody nie otrzymały, jury ma prawo przyznać odznaczenie. Każda z wyznaczonych nagród przyznana będzie w całości i żadna rozdzieloną być nie może;

3. Utwory które uzyskają nagrodę będą przedstawione na scenach rządowych w Warszawie.

4. utwór nagrodzony staje się własnością Dyrekcji, która jednak pozostawia autorowi swobodę ogłoszenia go drukiem. Przyznana mu nagroda nie pozbawia go prawa do wypłacanej autorom tantjemy;

5. ostateczny termin nadsyłania prac konkursowych upływa 31 grudnia 1909 roku. W razach wątpliwych rozstrzyga data stempla pocztowego. Sąd konkursowy kończy swoją pracę w dniu 1-go maja 1910 roku.

6. każdy rękopis winien być napisany czytelnie i zaopatrzony godłem. Godło to ma znajdować się również na kopercie zapieczętowanej, zawierającej imię, nazwisko i dokładny adres autora;

7. nazwiska autorów, odznaczonych przez sędziów, będą ujawnione jednocześnie z nazwiskiem nagrodzonego twórcy, o ile na rękopisie utworu nie będzie wyraźnego zastrzeżenia, że koperta tylko w razie przyznania nagrody może być odpieczętowana;

8. rękopisy nadsyłać należy pod adresem Dyrekcji Teatrów rządowych na ręce kierownika literackiego J. Kotarbińskiego z wyraźnym zastrzeżeniem na rękopisie i opakowaniu, że manuskrypt przeznaczony jest na konkurs;

9. sąd konkursowy składają osoby następujące: Bogusławski Władysław, Dębicki Zdzisław, Frenkiel Mieczysław, Gawalewicz Marjan, Jankowski Czesław, Kempner Gabrjel, Kotarbiński Józef, Kozłowski Stanisław, Lorentowicz Jan, Matuszewki Ignacy, Rabski Władysław, Śliwicki Józef i Święcicki Adolf.

Z PRASY.

PROMYK dwutygodnik ilustrowany dla dzieci. Kraków — Warszawa.

Od 1-go lutego zaczęło wychodzić nowe pisemko dla dzieci, redagowane łącznie przez krakowskie i warszawskie siły literackie. Zadaniem jego jest wypełnić lukę odczuwaną przez rodziców i wychowawców przeko nań postępowych, zmuszonych karmić swą dziatwę pisemkami, redagowanymi w duchu konserwatywnym, gdyż innych u nas niema. Redakcja *Promyka* umiała pozyskać sobie współpracownictwo piór pierwszorzędnych. Góruje nad nimi talentem — Janusz Korczak, gorący przyjaciel dzieci i pedagog „z bożej łaski", zawdzięczający swoim małym przyjaciołom najpiękniejsze karty swych książek, najlepsze swe natchnienia. Nikt może u nas nie umie tak jak on mówić o dzieciach, dla dzieci i do dzieci. Zdaje się, że dopiero w małym dziecięcym światku czuje się on w swoim żywiole i dlatego też stale spędza wśród niego sezon wakacyjny, jako wychowawca na kolonjach letnich. Pomieszczone w *Promyku* opowiadanie: „Jośki, Mośki i Srule" zawiera opis życia chłopców żydowskich na kolonji w Michałówce. Dzieciom tam dobrze, doskonale się bawią, a ich humor udziela się czytelnikom. Są to wprawdzie dzieci nędzy i autor bynajmniej nie ukrywa przed czytelnikami smutnych warunków

ich powszedniego życia, od którego odbijają miłym kontrastem cztery tygodnie spędzone na wsi, jak w dziecięcym raju. Nie ukrywa i tego, że są to małe urwisy tak samo skłonne do wybryków, jak ich rówieśnicy, czytające *Promyk* — ale nie idzie śladem pedagogów starej daty, usiłujących w kaznodziejskich refleksjach tragicznie oświetlać każdy fakt „niegrzeczności" — czyli dziecięce go przestępstwa. Kolonja letnia Korczaka jest szkołą społecznej organizacji dla małych letników. Przewinienie dzieci np. roztrząsa i karci sąd koleżeński, z wyboru ustanowiony. Dla czytelników ta strona życia kolonji jest bardzo pociągającą i kształcącą zarazem.

Dzieci lubują się — jak wiemy — w opisach nadzwyczajnych przygód rozgrywających się na nadzwyczajnym tle. Stąd ich upodobanie do opisów podróży, wyzyskiwane bądź to przez autorów książeczek kształcących i rozwijających umysł, bądź też przez wydawców, robiących świetne interesy na rozbójniczych, „indyjskich" lub zbrodniczych powieściach, w rodzaju popularnego „Jacka Texasa". Upodobanie to słusznie uwzględnia redakcja w opowiadaniach z życia rybaków grenlandzkich: „Na skórzanej łodzi". Są one może tylko zbyt jednostajnie ponure.

Nic rzadszego w literaturze dziecięcej jak humor, nic cenniejszego zarazem. „Śmiech—jak mówi Korczak—wychowuje lepiej niż najmędrszy nauczyciel". W *Promyku* sporo jest rzeczy wesołych, nie wszystkie jednak może dość trafnie wybrane. Opowiadania „Z dziecięcego świata" mogą raczej rozśmieszać dorosłych bawiących się naiwnością dziecięcą, niż dzieci same.

Łatwe i zajmujące pogadanki, naukowe wierszyki, komedyjka p. Z. Wójcickiej oraz zagadki i łamigłówki dopełniają całości.

Pisząc dla dzieci, każdy autor musi uwzględniać jakiś przypuszczalny wiek dziecka, jasną jest bowiem rzeczą, że w dzieciństwie 4 — 5 lat stanowi ogromną różnicę w zasobie wyobraźni; to, co dla jednych dzieci jest nieprzystępne — dla drugich jest już nudne i błahe. Wydawcy pism dziecinnych radzą sobie w ten sposób, że do numeru,przeznaczonego dla dzieci starszych, dołączają dodatek dla malców. W *Promyku* tego podziału niema i stąd wielka nierównomierność poziomu — mianowicie w pogadankach. Są też i rzeczy zbyt błahe dla dzieci jakiegokolwiek wieku, np. „Nasze Krowy".

Prawdopodobnie redakcja, która widocznie jest dziś jeszcze w fazie wyszukiwania i torowania nowych dróg, wybrnie z czasem z tych trudności. Byłoby też pożądanym, aby dwutygodnik zmieniono na tygodnik — jak wszystkie inne pisemka dziecinne. Dwutygodniowa przerwa w „dalszych ciągach" jest dla dzieci wielką przeszkodą w ciągłości zainteresowania. Dopiero też wtedy *Promyk* zdoła wytrzymać konkurencję pism tańszych. *Moje Pisemko* kosztuje 60 kop. kwartalnie—*Promyk* 90 kop., a daje o połowę mniej numerów. Wybitnie demokratyczny charakter *Promyka* zmusi go z czasem, by się i w tym kierunku zdemokratyzował. *M.*

Idejowość „Idei".

Krakowski miesięcznik *Idea* w swoim marcowym zeszycie piórem p. *Juniusa* kreśli pod adresem Zjednoczenia Postępowego szereg napomnień, jak gdyby żywcem wziętych z przemówień i artykułów naszej secesji. Nie podoba mu się komunikat Rady z tych samych zupełnie wzajemnie się wykluczających powodów, co pp. Konicowi, Rappaportowi i Bibersteinowi: 1-o dla tego, że nie jest poważny, bo go nikt nie usłucha, 2-o dla tego, że dyrektywy posłom może dawać tylko to stronnictwo, które ich wybierało, 3-o wreszcie, że posłowie nasi powinni bronić Chełmszczyzny, a gdy się to nie uda, wtedy opuścić „przybytek nikczemności". Czy wtedy będzie wolno dawać dyrektywę posłom, których się nie wybierało? Czy protest przeciw wyodrębnieniu Chełmszczyzny będzie *poważny*, choćby go nikt nie usłuchał? Czy sprawa Chełmszczyzny będzie ostatnią sposobnością do protestu?

„My tu *w Galicji* spodziewamy się od postępu warszawskiego czegoś innego, czegoś więcej" — pisze p. Junius mentorskim tonem, znanym nam dobrze z przemówień *tu w Warszawie*. A dalej pyta: „Jaką twórczą myśl przeciwstawiacie innym partjom, gdzie wasza nie taktyka odrębna ale idejowość. Boimy się, że odpowiedź wypadnie bardzo smutno".

Próżne obawy; odpowiedź znajduje się o trzy karty wstecz w tymże samym zeszycie tejże *Idei*. Oto dla określenia sytuacji politycznej, jaka się wytworzyła w Królestwie Polskim po rezygnacji p. Dmowskiego, *Idea* zapożycza się u *Prawdy* i cytuje drukowany tamże artykuł Lednickiego, zawierający — jak czytelnikom wiadomo — te same polityczne wskazania i to samo żądanie pod adresem Koła polskiego, co komunikat Rady P. Z. P. Redakcja wie zatym, gdzie nasycić swą ciekawość, a jest już rzeczą indywidualnego smaku, że pewne myśli tylko wtedy asymiluje, gdy są odpowiednim opatrzone podpisem.

Jakże wygląda więc idejowość *Idei?* Boimy się, że odpowiedź wypadnie bardzo śmiesznie.

Socjaliści do socjalistów.

Polscy posłowie socjalistyczni w wiedeńskiej Radzie Państwa na skutek przemówienia posła Gegeczkori przy etacie ministerjum sprawiedliwości wystosowali do rosyjskiej socjaldemokratycznej frakcji w Dumie pismo z którego następujące słowa przytaczamy wedle tekstu podanego w *Nowej Gazecie*.

Polski Klub posłów socjalno - demokratycznych w austryjackiej Radzie państwa uchwalił d. 24 marca r. b. zwrócić się do Waszej frakcji w następującej sprawie:

Dnia 16 b. m. postawił poseł do Dumy, Dymsza, rezolucję tej treści, że „przynależność do narodowości polskiej nie powinna przeszkadzać przyjmowaniu Polaków na posady sądowe w Królestwie Polskim". Wedle gazet rosyjskich miał tow. Gegeczkori uzasadniać wrogie tej rezolucji stanowisko swojej frakcji tym, że wniosek Dymszy uwzględnia jedynie interesy polskiej ludności, ignorując interesy pozostałych narodowości w Królestwie Polskim, oraz stanowiskiem Koła polskiego wobec budżetu. Faktycznie przeciw tej części rezolucji Dymszy, która żądała dopuszczenia Polaków w Polsce do godności sędziowskich, głosowała cała frakcja S. D. i doprowadziła do obalenia rezolucji Dymszy.

Jakkolwiek poseł Gegeczkori uznał za stosowne ogłosić przy tej sposobności frakcję S. D. w Dumie za reprezentantkę polskiego proletarjatu, to jednak my, polscy posłowie socjalno - demokratyczni, musimy wyrazić nasze stanowcze przekonanie, że Polacy w Królestwie Polskim mają prawo nietylko do posad w sądownictwie, lecz mają także prawo do stanowienia o sobie.

Jesteśmy też przekonani, że żaden poseł, wybrany naprawdę przez proletarjat polski, nie mógłby zająć podobnego stanowiska, jakie zajął w swojej mowie tow. Gegeczkori, a w swoim głosowaniu cała frakcja S. D.

Co do motywów przytoczonych, to zauważamy, że nie znamy w Królestwie Polskim, oprócz Polaków i żydów, żadnej narodowości, wykluczonej od piastowania godności sędziowskich. Tymczasem tow. Gegeczkori i frakcja S. D., nie zaznaczywszy w niczym dążenia do równouprawnienia żydów, odmówili tego równouprawnienia Polakom.

Dlatego zapytujemy frakcję ros. S. D. w Dumie, jak usprawiedliwi wobec zasad międzynarodowej socjalnej demokracji stanowisko swoje w sprawie najskrom-

niejszego domagania się równouprawnienia ludności polskiej w Królestwie Polskim.

Odezwę podpisali:

Ignacy Daszyński, d-r Herman Diamand, Józef Hudec, d-r Ryszard Kunicki, d-r Herman Lieberman, Andrzej Moraczewski.

KRONIKA.

— Według obliczeń dr. Żbankowa w ciągu ostatnich 3 lat sądy wojenne wydały około 6000 wyroków śmierci. W 1905 roku skazano na śmierć 96 osób, w r. 1906 — 1333, w 1907 — 1610. a w 1908 — 2889 osób. Przeciętnie skazywano co miesiąc 190 osób

— Stan ochrony nadzwyczajnej ma być zniesiony w Warszawie w sobotę dnia 10 kwietnia. Natomiast ma być wprowadzona ochrona wzmocniona.

— Z d 3 kwietnia r. b. zacznie wychodzić w Warszawie tygodnik ekonomiczno-społeczny p. n. „Handlowiec", poświęcony sprawom pracowników handlowych pod kierownictwem literackim p. Cezarego Łagowskiego. Adres redakcji, Miodowa 3.

— Ministerjum spraw wewnętrznych wyjaśniło, iż włościanom, których mienie wystawiono na licytację za długi, nie mogą być sprzedane następujące rzeczy: narzędzia rolnicze, zboża, drób, 1 koń, 1 krowa, 1 świnia i 5 owiec, co stanowi mienie niezbędne do prowadzenia gospodarstwa.

— Według informacji gazety „Riecz" prawica Rady Państwa opracowuje projekt zmiany ustawy wyborczej do Rady Państwa w ten sposób, aby z guberaji zachodnich mogło być wybranych tylko dwuch Polaków.

— Były kandydat do Dumy ze strony postępowych Rosjan w Warszawie p. Paweł Łopatin wystosował do posła od ludności rosyjskiej m. Warszawy list otwarty w którym oświadcza, iż poseł Aleksiejew jako wybrany przez żywioły prawicowe rosyjskie Warszawy może przemawiać li tylko w imieniu swoich wyborców, postępowa zaś ludność rosyjska Warszawy traktuje jego wystąpienie w Izbie z głęboką pogardą.

— Gubernator Wileński otrzymał od ministerjum spraw wewnętrznych okólnik, zalecający, aby odnośne władze nie traktowały zbyt formalistycznie sekt nieprawosławnych i aby dozwalały im na odprawianie swych nabożeństw o ile one nie sprzeciwiają się interesom państwa i moralności.

— W tych dniach na skutek pośrednictwa Anglji nastąpiło rozwiązanie zatargu austro-serbskiego. Serbja uznaje aneksję Bośni i Hercogowiny i zrzeka się wszelkich terytorjalnych odszkodowań oraz bezzwłocznie rozbroi zmobilizowane dotąd wojska. Ludność Serbska przyjęła tę wiadomość z zupełną apatją i przygnębieniem. W związku z tym w Petersburgu krążą pogłoski, iż minister spraw zagranicznych Izwolski oraz poseł rosyjski w Wiedniu hr. Urusow otrzymają dymisje.

— Na świeżo odbytym zebraniu Październikowców petersburskich przy udziale najwybitniejszych przedstawicieli frakcji, leader partji Guczkow omawiając sprawę stosunku partji październikowców do Koła polskiego oświadczył, iż Koło polskie pod względem ekonomicznym i socjalnym zbliża się zupełnie do centrum, istnieje tylko różnica zapatrywań w kwestjach politycznych, lecz ta da się może wyrównać w dalekiej przyszłości.

— Moskiewska komisja guberajalna do spraw stowarzyszeń i związków odmówiła zarejestrowania „Ligi walki przeciwko karze śmierci.

— W dniu 21 b. m. zmarł w Lipsku Rudolf Gottschal wybitny niemiecki dramaturg i historyk, który odgrywał bardzo ważną rolę w czasie wolnościowych walk w Niemczech.

— W dniu 26 b. m. zmarł w Cannes we Francji założyciel i wieloletni prezes warszawskiego Pogotowia ratunkowego i Towarzystwa Opieki nad kobietami, Gustaw hr. Przeździecki.

OFIARY.

Na wpisy dla biednych uczniów od pracowników Towarzystwa Nikopol-Marjupolskiego w Sartanie:

Z. Wasilewski rb. 10, T. Jabłkowski rb. 10, T. Kobyliński rb. 3, S. Kleinsznek rb. 1, J. Tomaszewski rb. 1, St. Prauss rb. 3, St. Hegner rb. 2, H. Cywiński rb. 1 kop. 50, S. Pilarski rb. 1, Z. Gorazdowski rb. 3, G. Weker rb. 3, J. Rzewnicki rb. 2, J. Woroszyłło kop. 50, Z. de O'Byrn kop. 50, J. Tarkowski rb. 1, A. Misiewski kop. 50, W. Lenk rb. 1, A. Kozikowski rb. 1, Cz. Paderewski kop. 50, Z. Mierzyński kop. 50, S. Szczawiński rb. 1, H. Kolberg rb. 10. Ogółem rb. 67.

Książki nadesłane do Redakcji.

— Monografje w zakresie dziejów nowożytnych. Tom VII i VIII. Polska w dobie wojny siedmioletniej. Część I: 1755 — 1758 przez Władysława Konopczyńskiego. Warszawa, Gebethner i Wolff. 1909.

— Jeanne Leroy-Allais: „Jak uświadomiłam moje córki o rozwoju kobiety i o macierzyństwie". Tłum. Emilji Węsławskiej. Nakł. Józefa Zawadzkiego, Wilno. Warszawa, Gebethner i Wolff.

— Marcelina Kulikowska: „Król Bolesław Chrobry". Poemat dramatyczny. Nakł. Tow. Wydawniczego. Lwów. Skład gł. Wende i S-ka, Warszawa.

— Antoni Szech: „Religja ludzkości". Warszawa, 1909.

„ „Dlaczego?" „

„ „Na sąd was wzywam" „

— Antoni Miller: „Z dziennika prostytutki". Studjum psychologiczne". Księg. Powszechna.

— Schopenhauer: „O nieśmiertelności istoty naszej". Tł. B. Miecznik. Warszawa, M. Borkowski, 1909.

— Henryk Zbierzchowski: „Literat". Powieść. Nakł. Gebethnera i Wolffa.

— Kazimierz Woyczyński. „Polska a chwila obecna". Nakład Gebethnera i Wolffa.

— I. Chrząszczewska i W. Haberkantówna: „Opowiadania przyrodnicze. II Łąka. Nakł. Geb. i Wolffa.

— Edmund Jankowski: „Ogródki robotników". Nakład autora. Warszawa, 1909.

— Kajetan Kraszewski: „Humoreski". Nakł. Gebethnera i Wolffa. 1909.

— Bugski Aleksander: „Dzieci chaosu". Wende i Sk-a, Warszawa.

— D r Majer Bałaban: „Żydzi w Austrji". Nakł. Księg. Wende i S-ka.

— Bard Polski. Album poetów polskich. Zebrał Bolesław Korejar. Kijów. 1909. Leon Idzikowski.

— Stefan Żeromski: „Duma o Hetmanie". Wydanie 3 ie. Warszawa, 1909. Kasa przezorności i pomocy warsz. pomoc. księg.

— Eugienja Żmijewska: „Dola". Powieść. Warszawa, Gebethner i Wolff. 1909.

— Prof. Dr. Vollers: „Religje świata". Książnica naukowa, i artystyczna. Kraków, 1909.

— Marcelina Kulikowska: „Dusze kobiece — serca kobiece". Warszawa. Nakł. „Steru". 1909.

Do numeru niniejszego dołączamy jako dodatek kwartalny dzieło *Prof. Karola Gide'a*: **Rozwój instytucji społecznych na początku XX stulecia.**

OGŁOSZENIA.

Prenumerata „Prawdy"

(wraz z bezpłatnym dodatkiem):

W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rb. 2, rocznie rb. 8, z odnoszeniem do domu.

Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. 50 rocznie rb. 10.

Za zmianę adresu dopłaca się 20 kop.

Sekretarz redakcji przyjmuje interesantów codziennie, oprócz niedziel i świąt, od 5 — 7 pp.

Rękopisów nie odsyła się. Autorowie prac nieprzyjętych mogą je odbierać w przeciągu trzech miesięcy, osobiście w Redakcji lub za pośrednictwem poczty, po nadesłaniu kosztów przesyłki. Rękopisy drobne nie zwracają się.

Korespondencji nieopłaconych lub niedostatecznie opłaconych nie przyjmuje się.

Ogłoszenia wszelkiej treści po k. 20 za wiersz garmontowy jednoszpaltowy lub jego miejsce (strona ogłoszeniowa zawiera 4 szpalty).

Przedpłatę przyjmują: Administracja **Prawdy** oraz wszystkie księgarnie, kjoski i kantory pism perjodycznych.

Sprzedaż pojedyńczych numerów po kop. 20 w Warszawie w Administracji pisma i w kioskach.

Administracja otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt, od godz. 10 do 2 i od 4 do 7 pp.

TREŚĆ:

Wydawca: **Józef Jabłoński.** Redaktor: **Roman Nowakowski.**

Druk K. Kowalewskiego. Warszawa, Mazowiecka 8.